

I 733.182 (2)

26

ARCHIWUM REWOLUCJI

IGNAZIO SILONE

WYBÓR TOWARZYSZY

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1964

ARCHIWUM REWOLUCJI

WYDAWACTWO KULTURY

WYBÓR TOWARZYSZY

WYBÓR TOWARZYSZY

WYDAWACTWO KULTURY

WYDAWACTWO KULTURY

WYDAWACTWO KULTURY

WYDAWACTWO KULTURY

WYDAWACTWO KULTURY

WYDAWACTWO KULTURY

BIBLIOTEKA " KULTURY "

Tom CIV

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi
par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.)

ARCHIWUM REWOLUCJI

IGNAZIO SILONE

WYBÓR TOWARZYSZY

Przełożyła z włoskiego
ZOFIA KOZARYNOWA

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1964



II 733.182



Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001009524444

© Copyright pour la langue polonaise INSTYTUT LITERACKI 1964

1964W1648

WYWIAD Z IGNAZIO SILONE

W lutym br. ukazała się w druku, wydana przez firmę Rizzoli w Mediolanie, książka pt. „Togliatti w r. 1937 — Jak zeszedł z pola przywódcy komunizmu europejskiego”, której autor, Renato Mieli, były redaktor mediolańskiego dziennika komunistycznego „L'Unita”, wystąpił z partii po stłumieniu przez Sowietów powstania węgierskiego w r. 1956. Mieli stara się odtworzyć, na podstawie dokumentów i zaświadczeń, rolę odegraną przez Komintern, w oparciu o procesy prowadzone z nakazu Stalina, które doprowadziły do zgładzenia wielu spośród głównych przywódców komunizmu międzynarodowego. Odbyliśmy rozmowę na ten temat z Ignacym Silone, który aż do r. 1930 zajmował jedno z naczelnych stanowisk w włoskiej partii komunistycznej i jako jej reprezentant miał sposobność poznać osobiście najwybitniejszych przedstawicieli zarówno sowieckiej partii komunistycznej, jak i partii europejskich. Przytaczamy tu pytania zadane Silonemu i jego odpowiedzi. Były one już częściowo ogłoszone przez jeden z tygodników rzymskich.

P. — Czy nie sądzi pan, że książka Renata Mieli „Togliatti w r. 1937 — Jak zeszedł z pola przywódcy komunizmu europejskiego” — może wzbudzić zniechęcone uwagi w rodzaju: „Jeszcze jedna książka o procesach sowieckich”?

O. — Tak, może wywołać i taką reakcję, szczególnie u prawowiernych komunistów, albo u takich, którzy w gazetach czytają tylko wiadomości sportowe. Tego rodzaju czytelnicy chętnie powtarzają: „Był przecie raport Chruszczowa, wygłoszony na XX Zjeździe. Cóż jest jeszcze do powiedzenia?”. Do powiedzenia, jest przede wszystkim to, że ów sławetny tajny raport ogłoszono drukiem na Zachodzie, ale nie w Rosji, ani też w krajach demokracji ludowych. I dodać trzeba, że styl tej książki jest stanowczy, surowy, przyzwoity,

nie ubliżający. Moment polemiczny tkwi w samej naturze faktów mrozących krew w żyłach. Niestety nie wszystko jest jeszcze wiadome. Najmniej zaś wiadomo o tym, co jest najbardziej przerażające. Mieli nie stara się jednak uzupełnić poważnych luk w swych informacjach powieściowymi pomysłami. Ujmuje je w formę wyraźnych zapytań, skierowanych przede wszystkim do Palmiro Togliatti. Czy usłyszymy od niego odpowiedź na to wszystko, co wchodzi w zakres jego kompetencji? Śmiem wątpić. Można także wątpić, czy zdecydują się kiedyś powiedzieć wszystko co wiedzą — już nie mówię tacy jak Kuusinen i Ulbricht — ale chociażby Gomułka i Tito? Jakkolwiek bądź, mogą oni być pewni, że długo jeszcze będzie dużo do powiedzenia na ten temat i wiele innych z nim związanych. Czterechsetlecie Galileusza powinno by podsunąć odpowiednie refleksje. Przypuszczenie, że długo, bardzo długo jeszcze będzie się mówić o terrorku stalinowskim, nie jest tylko zwrotem retorycznym. Mówić się będzie, bo liczba jego ofiar była olbrzymia, bo wiele z nich to jednostki o wyjątkowej wartości, bo wreszcie ogromną wagę ma związek historyczny ówczesnych wypadków z pojęciem pierwszego mocarstwa socjalistycznego. Jest możliwe, że straszliwa rzeczywistość stalinowskiego ustroju będzie w przyszłości zaprzętać umysły historyków tak długo przynajmniej, dopóki będą ich interesować problemy polityczne i społeczne XX wieku, to znaczy przez niewiadomy nam jeszcze okres czasu. Jedyne co nam dziś pozostaje do zrobienia, aby pomóc historykom przyszłości, to starać się uczciwie wywiązać z przypadającej nam roli kronikarzy.

P. — Mieli rozporządza dokumentami, które dotyczą przede wszystkim likwidacji polskiej partii komunistycznej, końca Beli Kuna, egzekucji elementów rewolucyjnych w Hiszpanii, prześladowań, których ofiarą padło wielu komunistów włoskich, wreszcie pewnego ciemnego epizodu z życia Tito. Co, na przykład, było powodem niezwykle bezlitosnego prześladowania przez Stalina Polskiej partii komunistycznej?

O. — Teksty ogłoszone drukiem w r. 1956, zarówno w Rosji jak w Polsce, mające na celu wyjaśnienie sprawy zdławienia polskiej partii komunistycznej w r. 1938 i przeprowadzenie rehabilitacji jej przywódców, to były drwiny dodane do tragedii. Czyżby wszystko było winą Berii i

garści fałszywych informacji? Polska partia komunistyczna była pod każdym względem najlepsza w międzynarodowym zespole. Najmniej ze wszystkich poddała się degeneracji biurokratycznej. Wśród jej przywódców byli ludzie tacy jak Adolf Warski, człowiek o wyjątkowej sile moralnej, którego porównać można z Różą Luksemburg i Leninem. Ażeby zniszczyć polską partię komunistyczną Stalin nie potrzebował opierać się na fałszywych informacjach: wystarczyły mu autentyczne. Gdyby miał do czynienia z ludźmi tej miary, trudno by mu było zawrzeć w r. 1939 traktat rosyjsko-niemiecki, dokonać rozbioru Polski i zesać na Sybir nie-dobitki zdolne jeszcze do stawiania oporu. W rzeczy samej likwidacja objęła także elementy stalinowskie. To nie była akcja zwalczania herezji — to było wypowiedzenia wojny Polsce. Partię rozwiązano i nie powołano jej na nowo do życia dopóki trwał sojusz z Hitlerem. Historia komunizmu polskiego nie jest jeszcze napisana, ale na to, by napisać ją zgodnie z prawdą, trzeba by móc z całkowitą swobodą wyjawiać wszystko to, czym od samego początku obciążała Rosja jego hipotekę. A więc rozumie się samo przez się, że historii tej pisać nie mogą ludzie spod znaku Gomułki.

P. — Jak się zachowały poszczególne partie komunistyczne wobec masakry swych najwybitniejszych przedstawicieli, którzy stali na czele rewolucji 1917 r.? Czy znalazł się przynajmniej jeden spośród przywódców komunizmu w świecie, który — choćby w teorii nie zgadzał się z Bucharinem i Trockim — nie wierzył, że są oni przekupionymi agentami angielskimi, amerykańskimi lub japońskimi, dążącymi do przywrócenia caratu w Rosji?

O. — W rzeczywistości było tak, że tych, którzy byli by zdolni do potępienia niecznych procesów ze zgrozą i wstrętem, nie było już wtedy w szeregach komunistów. Ci zaś, którzy pozostali na ich czele po przejściu przez bolesne ciągi lat trzydziestych, nie mieli już w latach 1936-38, sił intelektualnych ani moralnych, do wyrażenia innego zdania, niż uległego zachwytu nad działalnością trybunałów. Nie trzeba bowiem zapominać, że historia Kominternu była od samych początków historią starć i systematycznych „czystek”. Kiedy terror stalinowski rozszalał się w całej swej grozie, tacy ludzie jak Rosmer, Monatte, Paul Levi, Brandler, Andreas Nin, Roland Holst, M.N. Roy, Bordiga, znajdowali się już za granicą. Jednocześnie działalność Kominternu ulegała dal-

szemu zwyrodnieniu, aż w końcu stał się on uległym narzędziem państwa rosyjskiego.

P. — Czyż nie był nim od początku?

O. — Do pewnego stopnia tak. Marny koniec Zinowiewa nie zwalnia go od odpowiedzialności za rozpętanie tzw. „bolszewizacji” partii należących do Kominternu. Nie można mieć także złudzeń co do przekonania wolnościowych Trockiego: Kronstadt ukazał nam je w pełnym świetle. W tych pierwszych latach partii debatowały na temat lokalnych kwestii taktycznych, a przecie każda dyskusja kończyła się scysją. Ale polityka państwowa, już wtedy w Rosji była tabu. Co najwyżej dopuszczano możliwość pewnego rodzaju „ius murmurandi”. Tak więc — żeby się ograniczyć do historii komunizmu włoskiego — po chaotycznym przemówieniu w parlamencie posła Bombacci, który piał zachwyty nad współpracą „dwóch” rewolucji („rewolucji” faszystowskiej z bolszewicką), następnie zaś bronił się wobec posłów komunistycznych, powołując się na uzgodnienie tekstu swego przemówienia z ambasadorem sowieckim, włoska partia komunistyczna zwróciła się do Moskwy z wymówkami. Nie przydały się wprawdzie na nic, niemniej poczuwała się do obowiązku uczynienia ich. (Jak wiadomo, czołowy komunista Bombacci stał się z czasem poplecznikiem Mussoliniego i skończył jak on: powieszony przez partyzantów na jednym z placów Mediolanu). Podobne wymówki ponowiła włoska partia komunistyczna po uroczystym przyjęciu, wydanym przez ambasadę sowiecką w miesiąc po zabójstwie Matteotiego. „Podczas przyjęcia — donosił komunikat oficjalny — panowała niczym nie skrępowana wesołość”. A było to w chwili, kiedy wszystkie przedstawicielstwa dyplomatyczne rezydujące w Rzymie odsunęły się od Mussoliniego, stwarzając dokoła niego pustkę. Jeszcze jedna okazja równie energicznego jak bezcelowego protestu nadarzyła się z racji powitania, jakie zgotowały władze sowieckie w Odessie pułkownikowi Italo Balbo i jego towarzyszom przelotu nad Atlantyką. Rosyjska orkiestra wojskowa grała nawet wtedy zamiast włoskiego marsza królewskiego — „Giovinezze”.

P. — Czyżby poklask innych partii komunistycznych i Kominternu był Stalinowi niezbędny, w chwili kiedy znajdował się już u szczytu potęgi? Można by sądzić, że przeciwnie.

O. — Nie był niezbędny, ale był korzystny. Nie zapominajmy, że władza w Sowietach opiera się na podwalinach ideologii międzynarodowej, wówczas jeszcze oficjalnie obowiązującej i stanowiącej podstawę wychowania młodzieży. Wobec tego jednogłośnie aprobatą partii zagranicznych i Kominternu mogła mieć pewien wpływ na opinię w Rosji. Poza wszystkim, Stalin uzyskiwał tę aprobatę bez trudu. Wolność opinii w biurokratycznym Kominternie dorównywała jego demoralizacji politycznej. W r. 1937 powierzono formalne kierownictwo sekretariatowi, w którego skład wchodził: Manuiliński (Rosjanin), Dimitrow (Bułgar), Kuusinen (Finn) i Togliatti. Nie były jednak rzadkie wypadki uzurpowania sobie przez sekretariat prerogatyw komitetu wykonawczego, a czasem nawet Kominternu *tout court*. Tym bardziej, że nikt przeciw temu nie protestował.

P. — Kilka lat temu jeden z sekretarzy włoskiej partii komunistycznej, Giancarlo Pajetta, złożył oświadczenie, jakoby żadne stosunki nie łączyły Kominternu z sądowymi władzami sowieckimi. Mieli w swej książce twierdzić że było przeciwnie, jakkolwiek brak mu dowodów na poparcie tego faktu. Zazwyczaj policja sowiecka, NKWD, aresztowała, wtrącała do więzienia i rozstrzeliwała działaczy politycznych, Komintern zaś udzielał postępowaniu policji sankcji ideologicznej i politycznej. Zdarzało się też, że pozbawienie życia wyprzedzało zbadanie sprawy na planie ideologicznym.

O. — Poseł Pajetta stał się ofiarą własnej szlachetności i lojalności w stosunku do partii. Mówiąc o podziale władzy pomieszał lekkomyślnie Marksa i Montesquieu. W rzeczywistości marksiści byli zawsze usposobieni krytycznie do teorii podziału władzy, uważając go za fikcyjny nawet w państwach zwanych liberalnymi. Jeśli zaś chodzi o nieuniknioną w dyktaturze proletariatu jedność władzy, to słynna rozprawa na ten temat prokuratora Wyszyńskiego nie pozostawia co do tego żadnych wątpliwości. Nie mówiąc o praktyce...

P. — A więc stojącym na czele Kominternu wszystko było wiadome? Przystępowali do obrad z całą świadomością rzeczy?

O. — Pozwólcie, że zwrócę uwagę na pewną okoliczność. Oto w ustroju totalitarnym czasowniki „wiedzieć”, „zdawać sobie sprawę”, „być odpowiedzialnym” posiadają

znaczenie *sui generis*. Jeśli np. pewni Niemcy przysięgają, że nic nie wiedzieli o narodowosocjalistycznych obozach śmierci, jeśli osobnik w rodzaju Eichmanna oświadcza, że o różnych rzeczach nie wiedział, co to ma znaczyć? Nawet Hitler nie mógł wiedzieć o wszystkim co się działo w łonie partii, w dziedzinie gospodarczej i w armii. Może i Stalin nie wiedział o tym na przykład, że wśród emigrantów włoskich w Rosji znajdował się niejaki Paolo Robotti, szwagier Togliattiego, którego uwięziono i torturowano na Łubiance. Prawdopodobnie i sam Togliatti o nim w pewnej chwili zapomniiał. W tym okresie miał tylko świadomość własnego terroryzowania, i tego było, moim zdaniem, aż nadto, żeby na nic więcej nie pozostawiało miejsca. Nie przypuszczam, na przykład, że pozwoliłby sobie zaprotestować przeciw własnemu rozstrzelaniu. Krótko mówiąc, terror jest piekielną maszyną, której funkcjonowanie nie zmienia się na zasadzie tego czy się wie lub nie wie, czy się jest lub nie jest odpowiedzialnym. Jedynym ratunkiem w ustroju totalitarnym jest bunt.

P. — Pomimo wszystko spontanicznie narzuca się pytanie: *dlaczego* powstały te hekatomby? Odpowiedzi na nie domaga się nasze racjonalistyczne wychowanie.

O. — Zgoda, mówmy o sławetnych „przyczynach obiektywnych”. Otóż nie ulega wątpliwości, że nad ustrojem stalinowskim ciążyła obsesja wojny i opozycji wewnętrznej. Przyznajemy chętnie, że obydwa te niebezpieczeństwa miały swe uzasadnienie, ale uważamy za nie mniej oczywiste, że wzmacniała je znakomicie sama polityka Stalina. Przez wysiedlenie milionów chłopów Stalin na pewno nie zjednał sobie sympatii ich rodzin, a nadto doprowadził rolnictwo w Rosji do stanu ruiny, z którego się dotychczas nie wydobyło. Zdzięsiatkowanie przez niego korpusu wyższych oficerów w przeddzień wojny bez żadnej wątpliwości ułatwiło napaść Hitlera. Jednym słowem, pierwiastek racjonalny w terrorze nie istnieje. Stosunek równowagi między środkiem i celem, na którym opiera się polityka jako sztuka, jest nie do osiągnięcia w dyktaturze. Jest to ustrój nie tylko okrutny, lecz nadto obłąkany.

P. — Mieli porusza również w swojej książce sprawę około dwustu skromnych szeregowych komunizmu włoskiego, którzy schronili się do Rosji i zostali tam uwięzieni, rozstrzelani lub w inny sposób uśmierceni w latach ter-

roru. Dlaczego nie znajdujemy pośród nich nazwisk czołowych bojowników? Jak się uratowało centralne kierownictwo partii?

O. — Nie znajdowało się ono w Rosji, ale na Zachodzie Europy. W Moskwie byli tylko przedstawiciele organów międzynarodowych.

P. — W grudniu 1961 r. Giorgio Amendola, jeden z sekretarzy włoskiej partii komunistycznej, ogłosił na łamach pisma „Rinascita” („Odrodzenie”) następujące oświadczenie: „Między włoską partią komunistyczną a Kominternem bywały chwile napięcia, np. w latach 1929-1934, kiedy komuniści niemieccy, a nawet towarzysze sowieccy, oskarżali publicznie przywódców komunizmu włoskiego o oportunizm”.

O. — Ażeby zrozumieć postępowanie Togliattiego w okresie terroru, trzeba właśnie cofnąć się do tych ciężkich lat, o których mówi Giorgio Amendola. Między rokiem 1926 a 1928 Togliatti osiągnął pełnię dojrzałości politycznej. Rozwój jego był powolny i nacechowany ostrożnością. W r. 1915 był on do pewnego stopnia zwolennikiem wojny, co nie stanowiło dobrej rekomendacji do sekcji socjalistycznej w Turynie, jednej z najbardziej nieprzejednanych w zwalczaniu wojny. Podczas dyskusji o stosunkach między fabrycznymi radami robotniczymi a syndykatami, w r. 1920, bliższy mu był raczej Tasca niż Gramsci. Nie wziął udziału w kongresie założycielskim włoskiej partii komunistycznej, nikomu też nie zależało na jego uczestnictwie: jego rola była wtedy najzupełniej drugorzędna. Aż do r. 1924 przychyłał się ku skrajnej lewicy, którą reprezentował Bordiga. Jeszcze podczas pierwszego pobytu w Moskwie zachowywał postawę bierną i oględną. Dam przykład. Na krótko przed swym aresztowaniem Gramsci posłał na jego ręce list, celem przekazania go czołowym komunistom rosyjskim. Było to ostre upomnienie ich z powodu kierunku jaki nadali Kominternowi, przenosząc doń, w sposób nieuzasadniony i naciągany, konflikty powstające w łonie sowieckiej partii komunistycznej.

„Towarzysze Zinowiew, Trocki, Kamieniew — pisał Gramsci — w wielkiej mierze przyczynili się do wykształcenia nas w duchu rewolucji. Nie wahali się przed energicznym i surowym pouczeniem nas; byli naszymi mistrzami”... Togliatti listu tego nie doręczył, ponieważ pozostając w Mo-



skwie musiałby ponieść jego konsekwencje. W rok potem jednakże, kiedy przejął kierownictwo włoskiej partii komunistycznej w spadku po aresztowanych czołowych jej przywódcach, nowopowstałe poczucie odpowiedzialności dodało mu odwagi, której mu przedtem brakowało. Ujawnił wtedy miarę swojego zmysłu politycznego i inteligencji, które zaostrzyły się wraz z napływem odwagi. Na przestrzeni tych dwóch lat miały miejsce wystąpienia Togliattiego, czy to na zebraniach włoskiej partii komunistycznej, czy na zjazdach Kominternu, które zaliczyć należy do najbystrzejszych w całej jego karierze. Prawda że miał wtedy oparcie o Bucharina, ale w wielu sprawach szedł dalej niż Bucharin. Upadek polityczny Bucharina w r. 1929 zaznacza w włoskiej partii komunistycznej początek kryzysu, który właśnie przypomina w swym oświadczeniu Amendola.

Ofensywa biurokracji Kominternu przeciw włoskiej partii komunistycznej była brutalna i głupia. Biurokracja ta poddała nielitościwej analizie — z kilkoletnim opóźnieniem — wszystkie dokumenty polityczne od r. 1925 począwszy, wykrywając w nich odstępstwa wyrażone nieomal w każdym zdaniu. Chodziło przeważnie o dokumenty, których autorem lub inspiratorem był Gramsci. Wezwano włoską partię komunistyczną do zdementowania ich. Gramsci został poddany krytyce jako myśliciel, i to w sposób specjalnie przykry i bolesny dla jego zwolenników, cieszył się on bowiem w partii najwyższym uznaniem, a Togliatti nazywał go największym filozofem XX wieku. W tymże czasie Komintern dokonał słynnego zwrotu, znanego jako zwrot do trzeciego okresu. Uzasadniano go niepoważnym zapewnieniem, jakoby sytuacja polityczna była znowu „u progu rewolucji”. Rzucono więc masom hasło ogólnego strajku politycznego. W tej nowej sytuacji określało się socjalizm demokratyczny jako lewe skrzydło faszyzmu. Rozłam w łonie syndykatów — tam gdzie istniały jeszcze syndykaty socjal-komunistyczne, a więc szczególnie w Niemczech — stał się logicznym następstwem tej sławetnej teorii socjal-faszyzmu. Togliatti, który poprzednio wdawał się w polemiki i odpie-rał bez trudu te fałszywe argumenty, stał się wówczas celem specjalnych ataków ze strony swoich eks-kolegów z Kominternu. Trzeba przyznać na jego dobro, że przeszedł w tym czasie poważny kryzys. W toku częstych dyskusji ze mną na ten temat zastanawiał się nieraz, czy nie nadeszła dla

niego chwila przełamania dyscypliny i ustąpienia z partii. Ale przynosi mu wstyd to że jego kryzys wewnętrzny zakończył się kapitulacją. Nie od razu mu uwierzono. Przez kilka lat był wystawiany na próbę i ściśle nadzorowany. Powierzano mu najbardziej obrzydliwe zadania. Potrafił wyka-
zać, że stracił wszelkie poczucie godności, prócz czysto technicznej, polegającej na doskonałym wykonywaniu tych zadań choć uzasadnienie ich nie odpowiadało jego wewnętrznemu przekonaniu. Był biernym świadkiem debat, które doprowadziły do zniweczenia polskiej partii komunistycznej, do likwidacji Beli Kuna, do występných działań, których ofiarą padli Andreas Nin, POUM*) i anarchiści hiszpańscy.

P. — Czy destalinizacja mogłaby rzucić więcej światła na tę ciemną przeszłość?

O. — Nowa orientacja polityki sowieckiej ujawniła się głównie w dziedzinie polityki zagranicznej (i kto wie, czy w tej dziedzinie nie chowa jeszcze dla nas wielkich niespodzianek). Ale w polityce wewnętrznej przyczyny dwój-
kajkiej natury wpłynęły na powstrzymanie destalinizacji: po pierwsze, obrona własna tych, którzy dzisiaj zajmują naczelne miejsca, a w okresie terroru byli współnikami Stalina, po wtóre, obrona ustroju, który w zasadzie pozostał ten sam. Owszem Chruszczow wycofał z obiegu starą historię sowieckiej partii komunistycznej z czasów stalinowskich (tzw. „Związły kurs”, na którym kształcili się także aktywiści włoskiej partii). Niemniej, w nowym podręczniku Chruszczowa długi rozdział poświęcony wielkim procesom nie został poddany korekcie, lecz po prostu skreślony. Skutkiem tego dzisiejszy młody komunista rosyjski nie wie, na jaką chorobę powymierali przywódcy rewolucji i czy poszli prostą drogą do nieba, jak Najświętsza Maria Panna. Dokonywa się w dalszym ciągu rehabilitacji, ale dorywczo, po odrobinie i nie w stosunku do wybitnych postaci (z wyjątkiem Tuchaczewskiego, lecz ten był wojskowym, a nie przywódcą politycznym). Prawie wszystko to co wiemy dzisiaj o losie czołowych komunistów rosyjskich, zawdzięczamy byłemu koledze Togliattiego, Finnowi nazwiskiem Arvo Tuominen. Obietnice polityczne odnowienia XXII kongresu sowieckiej partii komunistycznej nie zostały dotychczas dotrzy-

*) POUM — Partido Obrero de Unification Marxista

mane. Pisarzy, którzy zabrali się do opowiadania o okropnościach stalinizmu, Chruszczow wezwał do zachowania ostrożności i umiaru. Powściągliwe zachowanie się Chruszczowa potwierdza, moim zdaniem, przypuszczenie że przynajmniej o ile chodzi o destalinizację wewnętrzną, jest on raczej czynnikiem hamującym niż kierującym. Impuls odnowicielski idzie z dołu, w szczególności od młodych, co tłumaczy przeskok i nieskoordynowanie w postępowaniu Chruszczowa.

P. — Czy można się spodziewać rehabilitacji także i ze strony włoskiej partii komunistycznej? W niedawnym liście wystosowanym do komunistów w Treviso, Togliatti zaprzeczył temu. W Treviso utworzono mianowicie, z inicjatywy komunistów regionalnych, komisję śledczą w celu zbadania sprawy prześladowań, których ofiarą padł Pietro Tresso, jeden z przywódców włoskiej partii komunistycznej, usunięty z partii w r. 1930. Aresztowany w Marsylii w r. 1940 za działalność antyniemiecką, został odbity w Puy-de-Dôme przez grupę partyzantów komunistycznych, którzy napadli na więzienie i uwolnili więźniów politycznych. Ale Tresso został sprzątnięty na skutek doniesienia współwięźniów, że jest trockistą — i ślad po nim zaginął. Zabierając głos na ten temat Togliatti oświadczył, że chodzi o sprawę czysto polityczną, nad którą można dyskutować jedynie na planie historii.

O. — W latach 1926-27, kiedy ja byłem odpowiedzialny za centrum wewnętrzne włoskiej partii komunistycznej, Tresso, Leonetti i Ravazzoli stali na czele poszczególnych biur: technicznego, prasowego i tajnego syndykalizmu. W r. 1930 zostali usunięci z partii, ponieważ odmówili zgody na tak zwany zwrot trzeciego okresu, na przyjęcie teorii socjał-faszyzmu i tym podobnych bredni. Był to oczywiście epizod polityczny. Ale jakie było uzasadnienie usunięcia ich z partii? Nie zawierało ani słowa o istotnej treści politycznej wyrażonego potępienia, nic tylko niedorzeczne oskarżenia, czerpane ze zwykłego repertuaru (korupcja, ośpałość, działanie rozkładowe z ramienia nieprzyjaciela, którego byli agentami), w najlepszym stylu stalinowskim. Od oskarżenia o zdradę do zadania śmierci jest tylko jeden krótki krok. Skąd inąd wiadomo, że aż do r. 1956 komunizm nie uznawał dymisji, tylko wydalenie, którego uzasadnienie musiało być niezmiennie uwłaczające czci.

DROGA DO WOLNOŚCI

1.

W ów wieczór listopadowy, zaraz po ogłoszeniu „praw wyjątkowych”, kilkoro z nas uniknęło aresztowania dzięki schronieniu się w małej willi na przedmieściu Mediolanu, wynajętej jakiś czas przedtem przez jednego z towarzyszy, który podawał się za malarza. Ulice w uboższych dzielnicach były opustoszałe, szynki pozamykane i wymarłe, domy ciemne. Nadawało to miastu, w tę wilgotną i chłodną porę, wygląd szczególnie ponury. Władze bezpieczeństwa dokonywały w tych dzielnicach nagłych wypadów o szerokim zasięgu, obstawiając, w pełnym rynsztunku bojowym, podejrzane budynki, jak gdyby chodziło o obleganie twierdz nieprzyjacielskich. Znaczna już przedtem liczba aresztowanych wzrastała z dnia na dzień na podstawie nazwisk i adresów uzyskiwanych na różne sposoby: przez rewizje, doniesienia szpiegów i prowokatorów, wreszcie zeznania wymuszone groźbą i torturą ze słabszych spośród uwięzionych.

W innych miastach i prowincjach odbywało się mniej więcej to samo, na szeroką skalę. Wychodzące jeszcze gazety informacyjne (te bowiem, które były w jawnej opozycji, w owych dniach właśnie zostały zamknięte), otrzymały nakaz unikania najlżejszej nawet wzmianki o aresztowaniach, przytaczania natomiast słów pochwały dyktatury włoskiej, wypowiedzianych, ku naszemu urągowi i rozżaleniu, przez wybitnych przedstawicieli demokracji i liberalizmu innych kra-

jów. Ale wiadomości uzyskiwane przez partię dzięki kurierom, którzy dostarczali ośrodkom działalności podziemnej korespondencji zebranej od powierników terenowych, nie pozostawiały nam żadnej wątpliwości co do zdecydowanego zamiaru dyktatury, wyłączenia raz na zawsze, aż do dna, istniejącej opozycji. Komuniści byli wówczas jedynym stronnictwem rozporządzającym organizacją podziemną o pewnej sprawności, ale obławy policyjne zdołały już zniszczyć sieć naszych kontaktów. Liczni zaś byli towarzysze którzy, po ucieczce z więzienia, zwracali się do nas z prośbą o umożliwienie im osiedlenia się na czas dłuższy w obcym sobie mieście i wyrobienia fałszywych dokumentów, aby mogli poruszać się swobodnie w poszukiwaniu sposobu urzędzenia się na nowo.

Ci z naszych, którzy już od pewnego czasu byli na fałszywych papierach, pokrywając tajną działalność niewinnymi i banalnymi pozorami, znajdowali się wówczas w położeniu niewątpliwie korzystniejszym, choć też nie nazbyt bezpiecznym, bo ewentualna zdrada albo słabość któregoś z aresztowanych mogła dostarczyć policji wskazówek naprowadzających na nasz trop. Tak się więc stało, że i mnie ostrzeżono niespodziewanie w ów wieczór, abym nie wracał do siebie, policja ma bowiem mój dom na oku. Razem z innymi zatem, znajdującymi się w takim samym położeniu, schroniłem się tymczasowo do małej willi towarzysza, owego rzekomego malarza. Po wyznaczeniu jednego z nas do pełnienia straży w pobliżu i po ustaleniu planu postępowania na wypadek alarmu, zdecydowaliśmy się spędzić noc siedząc na krzesłach, zważywszy że skąpo umeblowany domek był zaopatrzony w jedno tylko łóżko.

Do kompletu z pseudo-malarzem i jego żoną, reszta towarzystwa składała się z niby-turysty hiszpańskiego, niby-dentysty, niby-architekta i młodej Niemki niby-studentki. Zналиśmy się już wprawdzie od paru lat, ale nasze stosunki ograniczały się wyłącznie do współpracy technicznej na zlecenie odpowiednich ośrodków organizacji konspiracyjnej; nie mieliśmy więc jeszcze czasu ani możliwości nawiązania przyjaźni. Co najwyżej ten lub ów spośród nas wiedział cośkolwiek o pochodzeniu i rodzinie innych, o ile te dane kojarzyły się w nieunikniony sposób z wydarzeniami skomplikowanego życia poza prawem. Dlaczego zatem to nasze przypad-

kowe spotkanie owego wieczora wryło mi się w pamięci na tak długo?

Otóż w pewnej chwili odezwał się dentysta:

— Przechodziłem dziś po południu pod „Scalą”. Przed kasą stał olbrzymi tłum w ogonku po bilety na najbliższy koncert. Zatrzymałem się chwilę aby mu się przyjrzeć: zrobił na mnie wrażenie korowodu wariatów.

— Dlaczego wariatów? — spytał hiszpański turysta. — Czyżby według ciebie muzyka równała się wariactwu?

— W zwykłych okolicznościach, nie — przyznał dentysta. — Ale jak można w dzisiejszych czasach szukać rozrywki w muzyce? Na to trzeba naprawdę być maniakiem.

— Muzyka nie zawsze jest tylko rozrywką — zauważył hiszpański turysta.

— Gdyby miłośnicy muzyki mogli nas w tej chwili widzieć i wiedzieć kim jesteśmy i co robimy — dodał malarz — oni też z kolei uznaliby nas prawie na pewno za wariatów. Nie jest wcale łatwo rozpoznać prawdziwego wariata; jest to jedna z najtrudniejszych gałęzi wiedzy.

Dentyście nie podobał się ton jaki przybrała rozmowa.

— Narażając, tak jak my, własną wolność i życie — odparł surowo — nie można pozwalać sobie na snucie rozumowań jak ktoś, kto śledzi walkę z wysoka.

— Do walki można się wmieszać — rzekł malarz — można nacierać na przeciwnika pięściami i kopniakami, ale nie koniecznie bóść go rogami. Lepiej chyba zachować głowę do innego użytku?

— Czyż nasza walka nie ma podkładu ideologicznego? — spytał hiszpański turysta. — Więc czy nie wchodzi w nią także głowa?

— Głowa tak, oczywiście, ale nie oczy — wyjaśnił malarz z uśmiechem. — Inaczej mówiąc — dodał — pragnąłbym nadal oglądać świat własnymi oczyma.

— Nie rozumiem — oświadczył dentysta. — Ryzyko na jakie się narażasz tutaj wraz z nami wydaje mi się nieproporcjonalne do tak umiarkowanego udziału. To musi być jasno wytłumaczone.

Nastała chwila zakłopotanego milczenia. Rozmowa mogła się źle skończyć. Przez okna widać było na autostradzie trzy ciężarówki wiozące żołnierzy. Pani domu zapuściła rolety i przyniosła kawy.

— W naszej epoce wszystkie drogi prowadzą do komunizmu — odezwał się turysta hiszpański, chcąc przywrócić harmonię. — Wszyscy nie mogą być komunistami w ten sam sposób. To jest jądro prawdy.

— Moją stawką na rzecz rewolucji proletariatu było własne życie — sprostował malarz. — Tak, życie, ale nie oczy, bo chcę zachować sobie prawo przypatrywania się temu co się dzieje z moim życiem. A to życie już jest oddane w zakład. Czyli, mówiąc jaśniej, postąpiłem podobnie do jednej mojej kochanej koleżanki szkolnej, która wstąpiła do klasztoru, oddając swoje życie w zakład za raj. Mam na myśli raj niebieski, proszę go nie mieszać z ziemskim. Mogę zapewnić, że mój zakład podtrzymam. Dlaczego miałbym uczynić zawód? Nikt nie ma prawa wątpić w mój honor.

— Ale rewolucja proletariatu — zauważył twardo dentysta — nie jest grą hazardową.

— Ja wiem — rzekł malarz — że moja wygrana nie zależy od hazardu, ale od zręczności i siły gracy i od tego wszystkiego, o czym się czyta w podręcznikach szkolnych naszej partii. Toteż dlatego biorę udział nie tylko dla zakładu, ale jako uczestnik gry: uczestnik całkowicie zaangażowany, bo jako stawkę daję samego siebie. Całego, powtarzam, z wyjątkiem oczu.

— Nie rozumiem — oświadczył dentysta.

— Krótko mówiąc, odmawiam zawiązania oczu — zakończył malarz. — Uczynię skrupulatnie wszystko czego zażądacie, ale z otwartymi oczyma.

— Dobrze — odezwał się z kolei hiszpański turysta. — Ale ja nie zdaję sobie sprawy, czy też ciebie nie interesuje przede wszystkim sprawa twego zakładu. Wybacz pytanie, czy jednak nie byłbyś gotów założyć się tak samo w innych okolicznościach o coś zupełnie innego, czy ja wiem, o wojnę, o podróż do bieguna południowego, o pielęgnowanie trędowatych, handel żywym towarem, fałszowanie pieniędzy?

— Czemu nie? — odparł tamten ze śmiechem. — Ale prawdopodobnie w każdym z tych przypuszczalnych zawodów starałbym się trzymać oczy otwarte i rozumieć o co chodzi.

— Komunista trzeba się urodzić — zauważyła młoda Niemka.

— Ale człowiekiem trzeba się stać — dodał malarz.

— Jednym słowem — spytał dentysta — czy można wiedzieć, skutkiem jakich okoliczności zdecydowałeś się postawić na komunizm?

— O, to długa historia — odparł tamten z powagą. — I powiem szczerze, że zawiera wiele punktów dla was niezrozumiałych.

— Opowiedz nam tę twoją długą i niezrozumiałą historię — odezwała się Niemka z naciskiem. — Będziemy czuwać, pić kawę i słuchać. A choćbyśmy i nie zrozumieli nie szkodzi. Najpiękniejsze historie są niezrozumiałe.

— A czy każdy z was też opowie swoją historię? — spytał malarz z wyzywającym uśmiechem.

— Owszem — zgodził się dentysta. — Będziemy czuwać i pić kawę.

— Dobrze się zastanówcie — zastrzegł się malarz. — Może oglądanie się za siebie jest dla was niebezpieczne. Może dla każdego, i dla mnie także, niebezpiecznie jest zastanawiać się w trakcie walki nad tym co, jak i dlaczego, słowem oglądać się wstecz. Przychodzi chwila rozgrywki, kiedy *rien ne va plus*, i wtedy kto jest w kręgu tańczących, musi tańczyć z innymi.

— Ale czyż można oddzielić fakt walki od motywów, które nas do tej walki przywiodły? — spytał hiszpański turysta. — Twoim zdaniem istnieje niebezpieczeństwo w rozpamiętywaniu motywów, które nas przywiodły do komunizmu?

— Noc jest długa — rzekła młoda Niemka. — Opowiadajmy sobie wzajemnie nasze niezrozumiałe historie. Będziemy pić kawę i czuwać.

I tak spędziliśmy tę noc na usiłowaniu wytłumaczenia sobie nawzajem, jak i dlaczego zostaliśmy komunistami. Wyjaśnienia nie były bynajmniej wyczerpujące, ale gdy nadszedł ranek, byliśmy już wszyscy przyjaciółmi. „To prawda — mówiliśmy sobie przy rozstaniu — że do komunizmu dochodzi się z różnych stron”.

(W rok potem rzekomy dentysta został aresztowany. Wzięty na tortury, odmówił wydania swych współpracowników i zmarł w więzieniu. Rzekomy malarz prowadził swą działalność polityczną aż do upadku faszyzmu; po drugiej wojnie wycofał się z życia publicznego. O młodej Niemce nic nie wiem).

W późniejszych latach często myślałem o zwierzeniach owej nocy, ponieważ przemożna potrzeba zrozumienia, zdania sobie sprawy, skonfrontowania znaczenia akcji w którą się wdałem z zasadniczymi motywami mego przystąpienia do niej, opanowała mnie całkowicie, nie pozostawiając mi chwili spokoju. I jeżeli moja skromna działalność pisarska ma w ostateczności jakiś sens, to właśnie ten: pisanie nabrało dla mnie w pewnym momencie znaczenia bezwzględnej konieczności, zaświadczenia, potrzeby nie do uchylenia uwolnienia się od obsesji, stwierdzenia treści i granic bolesnego, ale definitywnego zerwania, a zarazem najszczerzej wierności.

Pisarstwo nie było dla mnie, i być nie mogło, z wyjątkiem rzadkich chwil stanu łaski, pogodną radością estetyczną; było uciążliwym, samotnym trwaniem w walce, po rozstaniu się z najdroższymi towarzyszami. A niedoskonałość i trudność znalezienia wyrazu, z którą nieraz walczę, nie pochodzą z pewnością z zaniedbywania sławetnych reguł pięknego stylu, lecz stąd, że ukryte rany sumienia wciąż jeszcze pozostają niezagojone i nigdy bodaj się nie wyleczą, sumienie domaga się jednak całkowitego uzdrowienia. Jest rzeczą bezsporną, że aby mówić prawdę, nie wystarcza być szczerym. Nie bez wysiłku więc wyrzekam się omówień i przystępuję do opowiadania bezpośredniego.

2.

Na kongresie założycielskim partii komunistycznej (Livorno, r. 1921) wyraziłem gotowość przystąpienia do większości młodzieży socjalistycznej, do której należałem od r. 1917. Postawa włoskiej młodzieży socjalistycznej była od czasu wojny tak zdecydowanie krytyczna w stosunku do reformistycznej socjalnej demokracji, że moje oświadczenie nie wzbudziło wcale zdziwienia.

W ów listopadowy wieczór mediolański, chcąc wytłumaczyć przyjaciółom dlaczego jako siedemnastoletni gimnazjalista, w pełni nasilenia wojny, przystałem do zimmerwaldzkiego socjalizmu, musiałem cofnąć się pamięcią, stopień po stopniu, aż po najwcześniejsze lata dorostania, a nawet

wspomnieć ten i ów epizod z dzieciństwa, ażeby doszukać się samych początków powolnego kształtowania się w moim ustroju moralnym poglądów na istniejący porządek społeczny, poglądów które później, wraz z przybraniem formy i znaczenia politycznego, musiały bezwarunkowo stać się krańcowymi. To nie są przechwałki. W osiemnastu latach, i to podczas wojny, nikt się nie przyłącza do ruchu rewolucyjnego prześladowanego przez rząd, z byle błahego oportunistu. Ale do diabła z psychologią. Przypuszczam, że czytelnika bardziej zainteresuje opowieść z prawdziwego życia.

Wzrosłem w górzystej okolicy Włoch południowych; w okresie, kiedy zaledwie zacząłem się zastanawiać nad otaczającymi mnie objawami, najsilniej uderzył mnie kontrast rażący, niepojęty, prawie absurdalny, między prywatnym, rodzinnym życiem, które przeważnie było — lub przynajmniej wydawało się — surowe i uczciwe, a stosunkami społecznymi, nazbyt często brutalnymi, wstrętnymi, fałszywymi. Znane są ogólnie liczne i przerażające przykłady nędzy i rozpaczliwego położenia prowincji południowych (ja sam nieraz referowałem takie epizody), tym razem jednak nie zamierzam odwoływać się do głośnych wydarzeń, lecz do drobnych faktów z życia codziennego, monotonnych, banalnych, uporczywie nawracających, w jakich się przejawiał ten szczególny, podwójny sposób bycia ludzi z mojego środowiska, których milczące obserwowanie stało się utajoną udręką moich lat chłopięcych. Od czasu do czasu fakty szczególnie przykre sprawiały, że pogarda zamieniała się w oburzenie.

Byłem jeszcze dzieckiem (miałem pięć lat), kiedy przechodząc pewnej niedzieli przez główny plac mojej wsi rodzinnej, prowadzony za rękę przez matkę, stałem się świadkiem głupiego i okrutnego wydarzenia: pewien lokalny panek poszczuła psa na kobiecinę, szwaczkę, wychodzącą z kościoła. Psisko obaliło nieszczęsną na ziemię, raniąc ją ciężko i drąc na niej w strzępy ubranie. We wsi powstało oburzenie powszechne, lecz tłumione. Niepojętym jakimś sposobem biednej kobiecie przyszedł do głowy pomysł wytoczenia procesu nikczemnikowi, pomysł niefortunny, zważywszy że przewidzianym z góry rezultatem tego kroku było narażenie się na urągawisko ze strony organów sprawiedliwości w dodatku do poniesionej przez nią szkody. Powtarzam, że wszyscy współczuli kobiecie, wielu nawet prywatnie jej

pomagało, ale nie znalazł się ani jeden świadek, skłonny do zeznania prawdy przed sędzią pokoju, ani też żaden adwokat gotów podjęcia się oskarżenia. Stawił się natomiast punktualnie obrońca właściciela psa (adwokat o opinii lewicowca) oraz kilku przekupionych krzywoprzysiężnych świadków. Ci w zeznaniach swoich wykoślawili całe wydarzenie, przerzucając winę na kobietę, która jakoby psa podroczyła. Sędzia pokoju, w życiu prywatnym najprzypoitoiszy i najuczciwszy człowiek, zwolnił fircyka, a biedną kobietę skazał na koszty procesu.

— Uczyniłem to z wielką przykrością — tłumaczył się później sędzia u nas w domu. — Wierście mi, słowo honoru daję że było mi przykro. Ale jeśli, jako osoba prywatna i świadek tego oburzającego zajścia, nie mogłem go nie potępić, to jako sędzia musiałem się trzymać danych wynikających z toku procesu, te zaś niestety, jak wiadomo, były po stronie psa. Prawdziwy sędzia — dodał, lubił bowiem wygłaszać okrągłe sentencje — powinien tłumić własne, egoistyczne uczucia w dążeniu do bezstronności.

— Niewątpliwie — zauważyła moja matka — ale cóż to za straszny zawód. Lepiej pilnować swoich spraw we własnym domu. Synu — zwróciła się do mnie — kiedy dorośniesz, bądź czym chcesz, byle nie sędzią.

Zachowuję w bolesnej pamięci inne jeszcze przykładowe epizody w rodzaju tego procesu pańskiego psa i kobiety z klasy służebnej. Nie chciałbym jednak, aby takie opowiadania zrodziły podejrzenie, że wzniosłe zasady sprawiedliwości i prawdy są przez nas ignorowane lub pogardzane — tak nie jest, wręcz przeciwnie. W szkole, w kościele i na publicznych zebraniach mówiło się o nich często, podniosło i z szacunkiem. Zawsze jednak pozostając w sferze abstrakcji. Dla dokładniejszej charakterystyki tej naszej sytuacji, naprawdę szczególnej i niezwykłej, i dla odróżnienia jej od objawów bardziej zacofanych cywilizacyjnie, muszę dodać, że polegała ona na oszukiwaniu samych siebie, z którego wszyscy zdawali sobie sprawę, nawet dzieci. A przecie ta sytuacja trwała, uzależniona widocznie od czegoś innego niż głupota lub ignorancja jednostek.

Przypominam sobie w związku z tym żywą dyskusję, jaka powstała pewnego dnia na lekcji katechizmu między chłopcami przygotowującymi się do bierzmowania, a pro-

boszczem. Spowodowało ją przedstawienie teatru marionetek, na którym byliśmy wraz z księdzem poprzedniego dnia. Pamiętam doskonale temat sztuki: były to dramatyczne przygody chłopaczka prześladowanego przez diabła. W pewnej chwili marionetka przedstawiająca chłopca wyszła, drżąc ze strachu, na przód sceny i żeby ukryć się przed diabłem schowała się pod łóżko ustawione w rogu. Wkrótce potem ukazał się diabeł-marionetka, w bezskutecznym poszukiwaniu chłopczyka.

— A jednak musi być tutaj — mówił marionetkowy diabeł. — Czuję go nosem. Trzeba zapytać tych pocziwych widzów.

I zwracając się do nas, spytał:

— Kochani chłopcy, czyście widzieli, gdzie się schowało chłopczyśko, którego szukam?

— Nie, nie, nie — odpowiedzieliśmy natychmiast chóralnie, z wielką stanowczością.

— Gdzież on się podziewa? Dlaczego nie widzę go?

— Zabrał się, poszedł — odpowiedzieliśmy — pojechał do Lizbony. (W naszych pojęciach, mowie i przysłowjach Lizbona do dziś dnia przedstawia odległy punkt na kuli ziemskiej).

Muszę wyjaśnić, że żaden z nas, idąc na przedstawienie, nie spodziewał się że diabeł-marionetka zwróci się wprost do niego. Nasze zachowanie było więc całkowicie instynktowne i odruchowe. Przypuszczam też, że w jakimkolwiek innym kraju świata dzieci zareagowałyby tak samo na identyczne przedstawienie. A przecie nasz ksiądz, człowiek światły, bogobojny i godzien szacunku, nie był wcale zadowolony. Wyłożył nam to z ubolewaniem w kapliczce św. Cecylii, gdzie udzielał nam zazwyczaj lekcji katechizmu. Było to miejsce szczególnie przez nas chłopców ulubione, ponieważ obraz w ołtarzu odtwarzał rzymską męczennicę w postaci ślicznego jasnowłosego dziewczęcia o skupionym i melancholijnym obliczu; święta trzymała w ramionach przedmiot, żywo przypominający pewien przyrząd kuchenny po polsku zwany „gitarą”, który służył w gospodarstwie do wyrobu makaronu z ciasta na żółtkach. Podobizna ta miała dla nas taką siłę urzekającą, że aby nas od niej ustrzec proboszcz musiał ustawić ławki dla chłopców na lekcję katechizmu w ten sposób, że byliśmy odwróceny plecami od św. Cecylii.

— Wasze zachowanie się podczas przedstawienia marionetek — oświadczył po rozmieszczeniu nas w ławkach — bardzo mi się nie podobało.

Krótko mówiąc, popełniliśmy kłamstwo, jak nam wyjaśnił ze zmartwieniem. Było to kłamstwo w szlachetnym celu, dobrze, ale zawsze kłamstwo. A kłamstw mówić nie wolno.

— Nawet diabłu? — zapytaliśmy zaniepokojeni.

— Kłamstwo jest zawsze grzechem — odparł ksiądz.

— Nawet w sądzie? — spytał jeden z chłopców.

Proboszcz spojrzał na nas karcąco.

— Ja tu jestem od tego, żeby was uczyć religii, a nie żeby plotkować — rzekł surowo. — Nie interesuję się tym, co się dzieje poza kościołem.

Po czym powrócił do nauczania nas o prawdzie i kłamstwie w ogóle, wyrażając się pięknie i niezrozumiale. My nie byliśmy jednak w danej chwili zainteresowani kwestią kłamstwa w ogóle, chcieliśmy jedynie wiedzieć, czy należało zdradzić przed diabłem miejsce ukrycia chłopczyka, czy nie.

— Nie o to chodzi — powtarzał ksiądz, czując się już naprawdę jak na żarzących węglach. — Kłamstwo jest zawsze grzechem. Może to być grzech wielki, może być średni, a nawet tyci, tyci, maleńki grzeszek. Ale zawsze grzech. Trzeba szanować prawdę.

— Przecie to prawda — odpowiadaliśmy — że z jednej strony był diabeł, a z drugiej ten chłopczyk. Chcieliśmy pomóc chłopcykowi, to jest właśnie prawda.

— Ale skłamaliście — powtarzał ksiądz. — W dobrym celu, przyznaję, aleście skłamali.

Żeby raz z tym skończyć, wysunąłem zastrzeżenie niebywale przewrotne, a biorąc pod uwagę mój wiek, zdradzające przedwczesną dojrzałość.

— A gdyby zamiast chłopczyka był ksiądz — spytałem — co trzeba było odpowiedzieć diabłu?

Proboszcz poczerwieniał i nie dał odpowiedzi, kazał mi natomiast za karę i dla odpokutowania wygłoszonej imperyencji, klęczeć przez resztę lekcji koło siebie.

— Czy odczuwasz skruchę? — spytał po końcu godziny.

— Ma się rozumieć — odparłem. — Jeżeli diabeł spyta mnie o adres księdza, od razu mu go dam.

Tego rodzaju dyskusja na lekcji katechizmu była niewątpliwie wyjątkowa i nie częsta. Ale w gronie bliskich i w ogóle w prywatnym kółku, zwykło się rozmawiać bez uprzedzeń. Niemniej rozbudzenie inteligencji pozostawało bez wpływu na stosunki społeczne, trwające w stanie upokarzającego i prymitywnego застоju.

3.

Od niejakiego czasu tak zwana demokracja wprowadziła jednak w stosunek obywateli do państwa pewien szczegół techniczny — tajność głosowania — który, jakkolwiek sam przez się nie stanowił radykalnej zmiany, obfitował w skutki naruszające w gorszący sposób porządek publiczny. Były to epizody odosobnione i bez następstw ale niepokojące.

Miałem lat siedem, kiedy w naszych stronach odbywała się pierwsza kampania wyborcza, którą zapamiętałem. Nie istniały wtedy jeszcze u nas stronnictwa polityczne; toteż zapowiedź wieców nie wywołała zainteresowania. Ogólne poruszenie wywołała natomiast wieść, że wśród kandydatów znajduje się, ni mniej ni więcej, osoba tak wysoko postawiona jak książę. Wymienianie imienia i nazwiska było zbędne: każdy wiedział, o jakiego księcia chodziło. Był to właściciel wielkich dóbr, powstałych w zeszłym wieku dzięki zagarnięciu prawem kaduka gruntów uzyskanych przez obszczenie jeziora Fucino. Około ośmiu tysięcy rodzin — czyli większość miejscowej ludności — było zatrudnionych przy uprawie czterestu tysięcy hektarów ziemi stanowiących te dobra. Do tych to „swoich” chłopów książę raczył się zwrócić o udzielenie głosów w celu obrania go posłem do parlamentu. Agenci działający z jego ramienia, którzy rozpowszechniali tę wiadomość, uzupełniali ją komentarzem brzmiącym jak najbardziej liberalnie, w tonie dostosowanym do wymagań nowoczesnych: „Ma się rozumieć — zapewniali — że nikt nie ma obowiązku głosowania na księcia, tak samo jak nikt, rzecz jasna, nie może skłonić księcia do pozostawienia nadal w swoich dobrach pracownika rolnego, który głosował przeciwko niemu. Żyjemy w epoce prawdziwej wolności dla wszystkich: wolności wy, wolny i książę”.

Takie ujęcie zasady wolności wywołało wśród chłopów zrozumiałe zaniepokojenie. Można sobie bowiem wyobrazić, że książę był istotą najbardziej znienawidzoną w okolicy. Dopóki pozostawał niewidzialny, na wysokościach Olimpu wielkiej własności ziemskiej — bo żaden z ośmiu tysięcy chłopów nie oglądał go nigdy nawet z daleka — nienawiść ta była powszechnie uznana. Miała coś wspólnego z przeklinaniem wrogich mocy niebieskich, które nic nie pomagają, ale przynosi pewną ulgę. Aż tu nagle chmury się rozstały i książę zstępował z wyżyn by znaleźć się w zasięgu wzroku ludzkiego. Trzeba więc było odtąd powściągnąć wypowiedanie nienawiści, ograniczając je do ścisłego zakresu życia prywatnego, a natomiast być przygotowanym na przyjęcie księcia we wsi z należnymi mu honorami.

Mój ojciec znalazł się wśród niewielu, którzy przeciwstawiali się tego rodzaju logice. Był on najmłodszy z gromadki braci, mańrolnych gospodarzy; najmłodszy, najbardziej rozbudzony i jedyny skłonny do niesubordynacji. Pewnego wieczora bracia przyszli do niego, aby zalecić mu, we wspólnym interesie, ostrożność i przebiegłość. Ten wieczór był dla mnie — nie zwracającego niczyjej uwagi — nadzwyczaj pouczający. Kobiety wycofały się do sąsiedniego pokoju po przyniesieniu wina i szklanek, a ja zostałem, siedząc w kucki w kącie przy kominie, dokoła którego mężczyźni zasiedli w półkole. Byli wysocy, silni, o wyglądzie niemal uroczystym; starsi nosili brodę, wszyscy mieli ogromne stopy, potężne kolana, bary i dłonie. Bez względu na wiek i na stopień zamożności domu, każdy z nich osobiście wykonywał najcięższe prace, zajmował się zwózką, orką, młódką. Praca stała się dla nich fizyczną potrzebą. Byli religijni, ale nie bigoci, zwolennicy ładu społecznego, ale nie trzymania się pańskiej kłamki. Cechowała ich pełna dumy odwaga wobec jakiegokolwiek niebezpieczeństwa, czy chodziło o stawienie czoła rozjuszonemu bydłciu, czy w obliczu powodzi albo pożaru. Lecz owego wieczora wydawali się zmieszani.

— Ta kandydatura księcia, to istne błazeństwo — stwierdził najstarszy z braci. — Kandydatury polityczne powinny być obsadzone przez adwokatów i im podobnych gadaczy. Ale z chwilą kiedy kandyduje książę, nie możemy zrobić nic innego jak poprzeć go.

— Jeżeli kandydatura księcia jest błazeństwem —

odparł mój ojciec — to nie rozumiem, dlaczego mamy ją popierać.

— Dlatego że, jak wiadomo, jesteśmy od niego zależni — brzmiała odpowiedź.

— Nie w zakresie polityki — rzekł mój ojciec. — W polityce jesteśmy wolni.

— Nie uprawiamy polityki, ale ziemię — odpowiedział mu. — Jako rolnicy zależyśmy od księcia.

— W umowie dzierżawnej — odpowiedział ojciec — nie ma mowy o wyborach, ale o kartoflach i burakach. Jako wyborcy jesteśmy wolni.

— Zarząd dóbr książęcych będzie też wolny, kiedy przyjdzie do odnowienia umowy dzierżawnej — była odpowiedź. — I to nas zmusza do oświadczenia się za księciem.

— Nie mogę głosować za kimś tylko z musu — rzekł mój ojciec. — Wstydziłbym się.

— O tym, za kim głosujesz, nikt nie będzie wiedział — odpowiedziano. — W zaciszu lokalu wyborczego możesz sobie głosować jak chcesz, bez przymusu. Ale podczas kampanii wszyscy musimy oświadczyć się za księciem.

— Z przyjemnością bym to zrobił, gdybym się nie wstydził — mówił ojciec. — Ale wiercie mi, że zanadto się wstydzę.

W ostateczności stało się między stryjami a ojcem na kompromisie: przyrzekł nie oświadczać się ani za księciem, ani przeciw niemu.

Agitacja wyborcza za księciem została starannie przygotowana przez władze cywilne, policję, żandarmerię i zarząd dóbr książęcych. Na koniec, pewnej niedzieli, książę raczył objechać, bez zatrzymywania się ani wygłaszania przemówień, wszystkie ośrodki wyborcze. Ten objazd stał się pamiętny w okolicy głównie dzięki temu, że książę odbył go w samochodzie, który to pojazd po raz pierwszy pojawił się wtedy w naszych stronach. Sam termin „samochód” nie był wtedy jeszcze w obiegu; w języku potocznym chłopcy używali określenia „wóz bez koni”. Chodziły przedziwne legendy o niewidzialnej sile pociągowej, która zastępowała konie, o szatańskiej szybkości nowowynalezionej pojazdu, o skutkach wydzielanych przezeń wyziewów, zabójczych przede wszystkim dla winnic. Owej niedzieli cała ludność mojej wsi wyległa naprzeciw księcia, wzdłuż drogi, którą

miał nadjechać. Dawały się dostrzec liczne oznaki zbiorowego podziwu i przywiązania do księcia. Na drodze wznie­siono łuki triumfalne, tłum był przyodziany odświętnie i opanowany zrozumiałym wzruszeniem. Wóz bez koni poja­wił się ze spóźnieniem i głośno furcząc minął tłum i zabu­dowania, nie zatrzymując się, ani nawet nie zwalniając, po czym zniknął pozostawiwszy za sobą gęste kłęby białej kurzawy. Agenci księcia wyjaśnili potem, że wóz bez koni jest poruszany „parą benzynową” i zatrzymuje się wtedy dopiero, gdy zabraknie benzyny. „Nie tak jak konie — tłu­maczyli — które wystarczy ściągnąć lejcami. Tam nawet lejc nie ma. Widzieliście może lejce?”. W dwa dni później przyjechał z Rzymu dziwny jakiś staruszek. Miał okulary, czarną laseczkę i walizeczkę w ręku. Nikt go nie znał. Powiedział, że jest lekarzem okulistą i kontrkandydatem księcia wyłonionym przez stronnictwo ludowe. Niewielu było ciekawych oglądania go: otoczyły go przeważnie ko­biety i dzieci, nie posiadające prawa głosu. Znalazłem się i ja wśród tej dzieciarni w krótkich majtkach, z zeszytami szkolnymi pod pachą. Ublągaliśmy staruszka, aby wygłosił przemówienie. Nie będąc mówcą, ograniczył się do powie­dzenia nam: „Przypomnijcie rodzicom, że głosowanie jest tajne. Tylko tyle”. Po czym dodał: „Jestem ubogi, utrzy­muję się z zarobków doktorskich, ale jeżeli jest tu kto chory na oczy, chętnie będę go leczył za darmo”. Przypro­wadziliśmy do niego starą owocarkę, która od lat chorowała na oczy. Oczyścił jej oczy i podarował buteleczkę z kroplami, objaśniając jak je stosować. Potem powiedział obecnym (by­ła to tylko gromadka nas, chłopców): „Przypomnijcie ro­dzicom, że głosowanie jest tajne”. I poszedł. Ale wybór księcia był tak pewny, sądząc z tłumów, które go owacyj­nie witały podczas jego objazdu, że władze i zarząd dóbr ogłosiły już zawczasu program uczczenia niechybnego zwy­cięstwa. Mój ojciec, stosownie do układu zawartego z braci­mi, powstrzymał się od skłaniania ku temu lub tamtemu kandydatowi, był niezwykle milczący, ale wystarał się o wzięcie udziału w komisji wyborczej. Jakież było zdziwie­nie ogólne, gdy dowiedziano się, że korzystając z tajności ogromna większość wyborców głosowała na nieznanego oku­listę. Co za skandal; władze napiętnowały to co zaszło jako ohydną zdradę. Co gorsze, rozmiary wydarzenia były takie, że zarząd dóbr książęcych znalazł się w niemożności zasto-

sowania represji do poszczególnych włościan. Jako odszkodowanie książę uzyskał nominację na senatora.

Po tych zajściach życie naszego wiejskiego społeczeństwa potoczyło się znów zwykłym torem. Nikt nie zastanowił się nad tym, dlaczego wolna wola obywateli może objawiać się tylko doraźnie. Dlaczego nie zorganizuje się życia publicznego w oparciu o nią w sposób trwały i stały? Nikt nie zapuszczał się w tak głębokie rozumowania. Jakkolwiek bądź, niesłuszne byłoby przypuszczanie — na zasadzie błędnej interpretacji przytoczonego przeze mnie epizodu — że główną przeszkodą był strach. Nasz lud, jak wiadomo wszystkim którzy go znają, nigdy nie był nikczemny, słaby ani ustępliwy. Surowy klimat, ciężka praca i twarde warunki walki o byt wyrobiły w nim wytrwałość, hart i odporność większe niż w ludności innych części Włoch. Nie strach więc stanowi klucz do tej zagadki, istnieje coś innego. Rzeczywiście kroniki gminne notują, z większym jeszcze naciskiem niż zadziwiający rezultat wyborów osiągnięty dzięki tajemnicy urn wyborczych, pewną ilość buntów, krótkotrwałych i umiejscowionych, ale gwałtownych, niszczycielskich i dzikich. Istoty znoszące upokorzenia i urazy były gotowe ścierpieć bez skargi najcięższe nadużycia, aż do chwili nieoczekiwanego wybuchu.

Dość powiedzieć, że moja gmina rodzinna liczyła, w okresie o którym mowa, około pięciu tysięcy mieszkańców, a utrzymywało w niej porządek dwudziestu karabinierów dowodzonych przez porucznika.

4.

Tak duża ilość żandarmów była sama przez się rewelacyjna. Podczas pierwszej wojny światowej nie kwitła nadmierna sympatia między żołnierzami a karabinierami, przydzielonymi do służby pozafrontowej. Nie brakło wśród nich, jak opowiadano, takich którzy wewnątrz kraju opiekowali się zbyt gorliwie żonami i narzeczonymi oddalonych żołnierzy. W małych miejscowościach pod takimi gawędami kryją się zawsze aluzje, a nawet dane personalne bardzo

dokładne. Zdarzyło się też pewnego wieczora, że trzech żołnierzy, przybyłych z frontu na krótki urlop, wdało się pod wpływem zazdrości w sprzeczkę z kilku karabinierami, rezultatem czego było zamknięcie ich w areszcie. Postępek ten, sam przez się śmieszny i nierycerski, przybrał formy potworne z chwilą, gdy komendant karabinierów skasował urlop trzech żołnierzy i wydał rozkaz natychmiastowego odesłania ich z powrotem na front. Byłem w przyjaźni z jednym z nich, poległym potem na wojnie; matka jego przyszła opowiedzieć mi z płaczem o niesprawiedliwości, jakiej padł ofiarą jej syn. Burmistrz, sędzia pokoju i proboszcz, których prosiłem o wstawiennictwo, oświadczyli, że nie leżało ono w ich możliwościach.

— Jeżeli tak — oznajmiłem — to pozostaje nam tylko *rewolucja*.

Często w naszej gwarze używało się tego fatalnego terminu historycznego dla określenia zwykłej gwałtowniejszej demonstracji. W owym okresie wojennym na terenie mojej rodzinnej gminy miały miejsce już dwie „rewolucje”: pierwsza przeciw zarządowi gminnemu z powodu zaprowadzenia kartek na chleb, druga przeciw kościołowi z powodu przeniesienia siedziby biskupiej do innej gminy. Trzecia gwałtowna demonstracja, o której właśnie opowiadam, przeszła do kronik miejscowych jako „rewolucja z powodu trzech żołnierzy”. Zważywszy, że trzech żołnierze mieli być odstawieni do pociągu odchodzącego o godzinie siedemnastej, wyznaczono początek „rewolucji” na pół godziny przedtem, przed koszarami. Na nieszczęście przebieg jej okazał się znacznie poważniejszy niż było to w naszych zamiarach. Zaczęło się jak na żarty, bo do rozpętania niepokoju starczyło kilku nas, chłopców: jeden w odpowiedniej chwili wszedł na dzwonnice i rozbijał wielki dzwon, ten który dzwoni na pożar lub na trwogę, reszta zaś wyszła naprzeciw ludzi, którzy biegli zaalarmowani biciem dzwonu, żeby wyjaśnić im sytuację i skierować ich w stronę koszar.

W ciągu kilku minut wzburzony tłum otoczył w groźnej postawie koszarę karabinierów. Od krzyków przeszło wnet do ciskania kamieniami, a od kamieni do strzałów. Oblężenie koszar trwało do późna. Wściekłość zmieniła nie do poznania naszych wieśniaków. Na koniec rozbito drzwi i okna koszar, a karabinierzy ratowali się, pod osłoną nocy, ucieczką do ogrodów i w pole. Trzej żołnierze,

o których wszyscy zapomnieli, wrócili niepostrzeżenie do swoich domów. Przez całą noc, my, chłopacy, byliśmy jedynymi panami placu. Pamiętna to była noc. Zgromadziliśmy się na szczycie wzgórza wznoszącego się za koszarami. Wzgórze to było jałowe, kamieniste, pełne rozpadlin, porośnię krzakami ostu, janowca i głogu: dobrze nam znany teren zabaw i wybryków. Noc była jasna i uroczysta; podniósł się wietrzyk, niosący z gór wonie dzikiego ziela. Przeliczając obecnych odkryliśmy, że jeden z „naszych” był ranny w ramię kulą karabinową. Zamiast zatroszczyć się natychmiast o lekarza, oglądaliśmy go z zazdrością. „Jak ci się udało?” — pytaliśmy.

On zaś uśmiechał się z dumą i nie odpowiadał, jak gdyby to było jego cenną tajemnicą. Tymczasem u stóp wzgórza rozruch się uspokoił, ulice opustoszały, tylko dwie czy trzy matki co jakiś czas wychylały się przez okno, wołając synów aby wrócili do domu. Nawoływały przeciągłym krzykiem i głos ich dobiegał aż do wzgórza; wołały, błagały, wzywały czułymi spieszcczeniami, jakich używa się w gronie rodzinnym.

— Te nasze mamy, to już naprawdę przesadzają — tłumaczył się jeden z nawoływanych.

— Ośmieszają nas — dodał drugi.

Wietrzyk górski sprawiał na mnie szczególne wrażenie, jak gdyby przywiewał obraz sytuacji w mniej romantycznych kolorach. Inni spostrzegli moje zaniepokojenie.

— Co teraz zrobimy? — pytali mnie chłopcy. Mój autorytet wobec nich wywodził się przede wszystkim z tego, że uczyłem się łaciny.

— Jutro rano — powiedziałem — możemy się spodziewać okupacji przez setki i setki uzbrojonych karabinierów i policjantów, którzy się tu pojeżdżają z Avezzano, z Sulmony, z Aquili, może nawet z Rzymu.

— Ale zanim się zjadą, co zrobimy teraz, w nocy? — o tym chłopcy chcieli dowiedzieć się ode mnie.

— Jedna noc oczywiście nie wystarczy, aby ustawić nowy ład — odparłem, odgadując ich skryte myśli.

— A czy nie można by skorzystać z tego, że cała wieś śpi, aby zaprowadzić socjalizm? — pytali, chcąc i tego dowiedzieć się ode mnie.

Słyszeli w ostatnich czasach to słowo, nie rozumiejąc

jego znaczenia, a teraz myśleli może, że wszystko już jest możliwe.

— Nie zdaje mi się — czułem się w obowiązku odpowiedzieć — naprawdę nie zdaje mi się, żeby nawet kiedy wszyscy śpią, można było zaprowadzić socjalizm w ciągu jednej nocy. (Na moje usprawiedliwienie muszę dodać, że w tym czasie teoria zaprowadzenia socjalizmu w jedną noc w jednej wsi nie była jeszcze wypracowana).

— Jedna noc mogłaby wystarczyć do wyspania się we własnym łóżku przed pójściem do więzienia — zauważył wreszcie jeden z obecnych.

A ponieważ byliśmy zmęczeni, wszyscy uznali tę radę za rozsądną i wypowiedzianą w porę.

Podobnie gwałtowne wybryki, po których następowały nieuniknione masowe aresztowania, procesy, nadmierne obciążenie kosztami sądowymi i karami, wzmocniły w umysłach chłopów, jak łatwo sobie wyobrazić, nieufność, ostrożność i rezygnację. Państwo nabierało dla nich znowu cech szatańskiego tworu. Dobry chrześcijanin, dbały o zbawienie swej duszy, powinien był zatem unikać ile możliwości wszelkiego zetknięcia z nim. Pojęcie państwa równa się zawsze znowie, złodziejstwu, kumoterstwu, i niczym innym być nie może. Nie zmienia się go ani prawem ani siłą. Jeśli spadnie nań kara, to z nakazu Boga.

5.

W r. 1915 gwałtowne trzęsienie ziemi zniszczyło znaczną część naszej prowincji, zabijając około pięćdziesięciu tysięcy osób w pół minuty. Uderzyło mnie, z jaką prostotą mieszkańcy przyjęli tę straszliwą katastrofę. Odnosili się pogardliwie do zawiłych wyjaśnień geologów, które zamieszczały dzienniki. W okolicy takiej jak nasza, gdzie tyle niesprawiedliwości uchodziło bezkarnie, częste trzęsienia ziemi wydawały się czymś dopuszczalnym i nie wymagającym wyjaśnienia. Można się było raczej dziwić, że nie wydarzały się jeszcze częściej. Przecie trzęsienie ziemi zabijało

bogatych i ubogich, wykształconych i analfabetów, przedstawicieli władzy i poddanych. Trzęsienie ziemi wprowadzało w czyn to, co prawo zapowiadało jedynie słowem, lecz nigdy nie urzeczywistniało: powszechną równość. Równość krótkotrwałą. Kiedy strach minął, zbiorowe nieszczęście stawało się okazją do pobudzania działalności koterii w jeszcze szerszym zasięgu.

Nic więc dziwnego, że to co nastąpiło po trzęsieniu ziemi, to jest akcja odbudowy dokonywana głównie przez państwo, stała się dla biedoty — z racji sposobu przeprowadzenia jej, opartego na oszustwach, nadużyciach, kradzieżach, znowach, malwersacjach i wszelkiego rodzaju nikczemnościach — nieporównanie dotkliwszą klęską od kataklizmu przyrody. Wtedy to powstało wspólne nasze przeświadczenie, że jeżeli kiedy przyjdzie na ludzkość czarna godzina, to nie podczas trzęsienia ziemi ani podczas wojny, ale po trzęsieniu ziemi i po wojnie.

Niech mi będzie wolno zreferować pewne doświadczenie osobiste. Jeden z moich znajomych, którego zwolniono z państwowego biura odbudowy, udzielił mi dokładnych i szczegółowych danych co do wykroczeń inżynierów stojących na czele tego biura. Nie zaskoczony bynajmniej — bo nie byłem już dzieckiem — ale przejęty do głębi, pośpieszyłem uświadomić o tych faktach kilka osób odpowiedzialnych, o znanej mi rzetelności i uczciwości, ażeby wzięły na siebie zgłoszenie przestępstw. Żaden z porządných obywateli, do których się zwróciłem, nie tylko nie zakwestionował prawdziwości danych, lecz nadto każdy miał możność stwierdzenia ich; nie mniej radzili mi, żebym nie wdawał się w tę aferę, dodając z serdeczną troską:

— Musisz kończyć studia, zdobyć posadę, po co masz się kompromitować mieszaniami się w sprawy, które do ciebie nie należą.

— Właśnie — odpowiadałem. — Lepiej, oczywiście, żeby informacje o nich wyszły od osób dojrzałych i odpowiedzialnych, niż od siedemnastoletniego chłopca.

— Nie powariowaliśmy — zapewniali mnie na to z oburzeniem zacni obywatele. — Pilnujemy swoich własnych interesów i niczych innych.

Rozmawiałem jeszcze na ten temat z tym i owym, co odważniejszym, spośród moich krewnych, i o ile wszyscy, jak się okazało, byli mniej lub więcej powiadomieni

o tych podłościach, zaklinali mnie zgodnie, abym nie wtykał kija w mrowisko, lecz troszczył się o własne studia, o karierę, słowem o przyszłość.

— Z przyjemnością — odpowiadałem — ale czy który z was podejmuje się zdemaskowania złodziei?

— Nie powariowaliśmy — oświadczyli mi na to ze zgorszeniem. — Te sprawy do nas nie należą.

Zacząłem się wtedy zastanawiać na serio, czy by nie przedsięwziąć z kilku jeszcze chłopakami nowej „rewolucji”, zakończonej pożarem biur, ale ten znajomy, który dostarczył mi informacji, odwiódł mnie od tego zamiaru, prowadziłoby to bowiem do zniszczenia dowodów winy. Jako starszy i doświadczeńszy doradził mi opublikowanie zarzutów w którymś z dzienników. Ale w jakim?”. Jest tylko jeden — wyjaśnił mój znajomy — który mógłby być zainteresowany w udzieleniu gościny podobnemu oświadczeniu: organ socjalistów”. Tak więc, napisałem trzy artykuły (pierwsze w życiu), w których opisałem dokładnie, przytaczając dowody, podejrzaną działalność inżynierów państwowych w naszej okolicy, i artykuły te wysłałem do „Avanti”. Dwa pierwsze, niezwłocznie wydrukowane, wzbudziły wielką wrzawę wśród czytającej publiczności, a niejaką także w kołach rządowych. Trzeci już się nie ukazał, na skutek — jak się dowiedziałem później — interwencji pewnego wpływowego adwokata socjalisty. Dowiedziałem się w ten sposób, że uciskający nas system oszukiwania i nadużyć zataczał znacznie szersze kręgi niż by się здаwało, i że niedostrzegalnymi rozgałęzieniami ogarniał nawet wybitnych działaczy socjalistycznych. Ułamkowe oskarżenia które ogłosiłem zawierały jednak tyle materiału, że starczyłoby na kilka procesów, a przynajmniej na dochodzenia z ramienia ministerstwa. Ale nic nie nastąpiło. Ze strony inżynierów, napiętnowanych przeze mnie jako złodzieje i oskarżonych o wyraźnie określone czyny, nie powstała nawet próba sprostowania lub choćby ogólnikowego zaprzeczenia. Po krótkim okresie oczekiwania wszyscy powrócili do swoich kłopotów.

Studenta, który śmiał rzucić podobne wyzwanie, uznano w najlepszym razie za chłopca impulsywnego i nie-równoważonego. Trzeba liczyć się z tym, że niski poziom gospodarczy Południa przedstawia słabe możliwości roz-

woju młodzieży, rok rocznie opuszczającej szkoły tysiącami. Jedynym naszym wielkim przemysłem był i pozostał urząd państwowy. Służba urzędnicza wymaga nie wyjątkowej inteligencji, ale uległości charakteru i konformizmu politycznego. Zrozumiałe, że młodzież południowa wzrosła w tych warunkach skłania się — o ile posiada choć trochę dumy i uczuć ludzkich — do anarchii i buntu. Objęcie posady urzędniczej staje się więc dla niej u progu młodości wyrzeczeniem, kapitulacją i upokorzeniem. Toteż utarte powiedzenie: anarchista w dwudziestu latach, konserwatysta w trzydziestu, słusznie określa zasady społeczeństwa południowego.

Skąd inąd wychowanie jakie daje szkoła, czy to publiczna czy prywatna, nie jest pomyślane tak, aby kształcić charakter. Od czasów gdy byłem wyrostkiem sytuacja uległa częściowej zmianie, ale nie polepszeniu. Jako uczeń gimnazjum i liceum uczęszczałem przeważnie do prywatnych zakładów katolickich. Wykształcenie humanistyczne, jakiego nam w nich udzielano, było dobre; wychowanie obyczajowe w zakresie życia osobistego, przyzwoite i rzetelne; ale wychowanie społeczne i obywatelskie jak najgorsze, częściowo z przyczyny trwającej jeszcze otwartej wojny między państwem a Kościołem. Tak np. nauka historii miała wyraźnie krytyczne zabarwienie o ile chodziło o konformizm ówczesnie obowiązujący. Całą mitologię *risorgimento* i jego bohaterów jak Mazzini, Garibaldi, Wiktor Emanuel II, Cavour, traktowano z szyderstwem i drwinami. Literatura panująca naówczas — Carducci, Verga, D'Annunzio — była przedmiotem pogardy. Ten sposób nauczania nie był w pewnym sensie pozbawiony korzyści, a to dlatego, że rozwijał w uczniach zmysł krytyczny. Ale sami klerykalni nauczyciele, mając na uwadze fakt przygotowywania nas do egzaminów w szkołach państwowych, a od ich wyniku zależy opinia i powodzenie ich zakładów, wpajali w nas, zalecając uwzględnianie przy zdawaniu egzaminów, zasady przeciwne własnemu przekonaniu. Z drugiej zaś strony, egzaminatorzy szkół państwowych, wiedząc że przychodzimy z instytucji katolickich, lubowali się w zadawaniu nam pytań na tematy kontrowersyjne, po czym chwalili, nie bez ironii, liberalizm i brak przesądów, cechujący nasze przygotowanie. Ca-

ły ten fałsz, ta hipokryzja i dwulicowość, były zbyt rażące, aby nie wzniesć zrozumiałego niepokoju w tych z nas, którzy czuli bodaj trochę szacunku dla nauki. Było też nieuniknione, że pewna ilość nieszczęsnych kandydatów uzyskiwała dyplomy, a w dalszym następstwie posady, jako najwyższe osiągnięcia życiowe.

„Ludzie urodzeni w naszych stronach są naprawdę nieszczęśliwi — mówił mi dr F.J., lekarz z sąsiedniej wsi. — Nie ma dla nich drogi pośredniej: albo bunt, albo współnictwo”.

Jeśli o niego chodzi, wybrał bunt. Stał po stronie anarchii. Wygłaszał przed biedakami tołstojowskie przemówienia. Stał się przedmiotem zgorszenia całej okolicy, znienawidzonym przez bogatych, wyśmiewanym przez ubogich. Tylko nieliczni współczuli mu po cichu. Stracił posadę lekarza gminnego i zmarł dosłownie z głodu. Przykład jego służył za postrach w rodzinach. Matki przestrzegały synów: „Bądź rozsądny, inaczej czeka cię taki koniec jak tego wariata”.

6.

Zdaję sobie sprawę, że odtworzona tutaj droga jaką przebyłem jest zbyt prostolinijna, aby nie robić wrażenia sztuczności. Jeśli uprzedzam ten zarzut, to nie na to, by go odeprzeć, zapewniając pod przysięgą że słowa moje wyrażają bezwzględną prawdę: mogę bowiem ręczyć tylko za ich szczerość, nie za bezstronność. Ja sam, gdy mam sposobność wspominać w rozmowach z rówieśnikami tę epokę naszego życia, a wobec katastrof, jakie po niej nastąpiły, wydaje się ona dzisiaj tak odległa, jak gdyby należała do prehistorii, zdumiewam się nieraz, że wydarzenia, które na mnie wywarły wpływ decydujący, w ich pamięci zatarły się zupełnie lub prawie, i na odwrót, nieraz oni pamiętają najwyraźniej okoliczności, dla mnie błahe i bez znaczenia. Czyżby oni, ci moi rówieśnicy, byli wszyscy „nieświadomymi współnikami”? Na pewno nie. Jakim zrządzeniem losu czy siłą zasługi, doszedłszy do pewnych lat dokonywa się najważniejszego w życiu wyboru, stając

się „buntownikami”? Wybieramy czy zostajemy wybrani? Skąd się bierze ten niezwalczony wstręt do rezygnacji, ten wstręt do niesprawiedliwości, nawet w zastosowaniu do innych? I te nagłe wyrzuty sumienia, gdy przychodzi zasiąść przy nakrytym stole, na myśl że innych, w tym samym bodaj domu, nie stać na zaspokojenie głodu? I ta duma, która sprawia że wolimy nędzę, więzienie, wygnanie raczej niż pogardę?

Może nikt tego nie wie. Nawet wyznania sięgające najdalej w głąb stają się w pewnym momencie zwykłym stwierdzeniem lub opisem, ale nie odpowiedzią. Każdy, kto zastanawiał się poważnie nad samym sobą i nad innymi, wie jak tajemne są pewne roztrząsania, jak tajemnicze i nieuchwytnie bywa powołanie. W moim buncie istniał moment, w którym stykała się miłość z nienawiścią: zarówno fakty uzasadniające moje oburzenie, jak przyczyny moralne które je wzniecały, były mi dostarczone przez moje rodzinne strony. To mi tłumaczy, dlaczego wszystko co dotychczas pisałem i wszystko też co prawdopodobnie napiszę w przyszłości, odnosi się i będzie się odnosiło — pomimo że dużo podróżowałem, a nawet mieszkalem za granicą — jedynie, wyłącznie i niezmiennie do tego kawałka ziemi, który obejmowałem spojrzeniem z okien mego rodzinnego domu, a który rozciąga się w każdym kierunku nie dalej niż na trzydzieści lub czterdzieści kilometrów.

Historia tej okolicy, jak zresztą całej prowincji Abruzzo, uboga w wydarzenia natury społecznej, a opiera się prawie wyłącznie na tradycji chrześcijańskiej i średnio-wiecznej. Jedyne jej zabytki godne uwagi, to kościoły i klasztory. Przez wiele stuleci nie wydała innych wybitnych przedstawicieli, jak świętych i kamieniarzy. Warunki życia mieszkańców były tam zawsze szczególnie uciążliwe, cierpienie zawsze uważano tam za ważny i nieunikniony dopust, a z tej racji krzyż był uznawany i czczony. Umysły samodzielne nie znajdowały nigdy w naszych stronach innej formy buntu przeciw losowi, jak franciszkanizm albo anarchia. W głębi duszy najbardziej nawet cierpiących nigdy nie wygasła doszczętnie, pokryta sceptycyzmem jak warstwą popiołu, pradawna ufność w łaskę tronu, oczekiwanie miłosierdzia w miejsce prawa, pradawne marzenie Joachima da Fiore, pierwszych prawowiernych franciszkanów i

benedyktynów. Ten objaw ma olbrzymie, zasadnicze znaczenie, którego nikt dotychczas nie wziął dostatecznie pod rozwagę. To jest prawdziwe bogactwo, to są wspaniałe zasoby, skryte zapasy kraju tak wyczerpanego, zawiedzionego, wyjąłowanego i zmęczonego jak nasz. Nie wiedzą o tym politycy, lękają się ludzie nauki, jedynie może święci wiedzieliby jak się z tym obchodzić. Natomiast zawsze u nas było trudne, jeśli nie niemożliwe, znalezienie drogi i metod rewolucji politycznej, *hinc et nunc*, której celem jest budowa wolnego i uporządkowanego społeczeństwa.

To odkrycie zrobiłem po przeniesieniu się do miasta, przy pierwszym zetknięciu z ruchem robotniczym. Stanowiło ono jak gdyby ucieczkę, wydostanie się przez wyjście przeciwpożarowe — z samotności nie do zniesienia. Odkrycie nowego ładu, okrzyk „ziemia! ziemia!”. Ale nie było rzeczą łatwą pogodzenie postawy moralnej wyrażającej buntowniczy stan ducha przeciw odwiecznej rzeczywistości socjalnej, która stała się nie do przyjęcia, z „naukowymi” wymaganiami doktryny politycznej o drobiazgowo wypracowanym kodeksie. Przystąpienie bowiem do stronnictwa rewolucji proletariatu nie ma nic wspólnego — o czym może i nie trzeba przypominać — ze sprawą zapisania się do jakiegokolwiek partii politycznej. Dla mnie, jak dla wielu innych, było to nawrócenie się, zaangażowanie się całkowite. W owych czasach jeszcze oświadczenie się za socjalizmem albo komunizmem równało się narażeniu życia, zerwaniu z rodziną i przyjaciółmi, wyrzeczeniu się znalezienia posady. Następstwa materialne były zatem dotkliwe, nawet zgubne, a trudność przystosowania się moralnego nie mniej może bolesna. Własny świat duchowy, owo „średniowiecze” odziedziczone i zakorzenione w samym gruncie natury, to z czego, w ostatecznym rezultacie, wywodzi się właśnie zasadniczy impuls buntu, doznało wstrząsu w posadach, niby od trzęsienia ziemi. Wszystko w głębi sumienia stało się problemem, wszystko zostało poddane dyskusji. Podmuch groźnego wicheru zgasił lampkę, płonącą stale przed ołtarzykiem najdroższych sercu odruchów uczuciowych. Życie, śmierć, miłość, dobro, zło, prawda — zmieniły znaczenie i nawet straciły je zupełnie. A jednak łatwo było rzucać wyzwanie niebezpieczeństwu, odkąd nie było się już samym. Lecz któż potrafi wyrazić głęboki wstrząs, jakim dla niedożywnego chłopca z prowincji,

przycupniętego w nędznym miejskim pokoiku, stało się ostateczne wyrzeczenie się wiary w nieśmiertelność duszy? Na tak poważny temat nie można było dyktować z byle kim; towarzysze z partii znaleźliby w nim cel drwin, dawnych przyjaciół już nie było. Tak więc świat zmieniał oblicze, chociaż nikt o tym nie wiedział.

7.

Warunki życia narzucone komunistom przez faszyzm od opanowania przezeń państwa, były ciężkie, ale też stanowiły kamień probierczy wielu faszystowskich też politycznych i dawały sposobność stworzenia organizacji dobrze przystosowanej do mentalności komunistycznej. Doszło do tego, że i ja także musiałem nauczyć się żyć przez kilka lat we własnym kraju jak cudzoziemiec. Trzeba było zmienić nazwisko, zerwać wszystkie związki z rodziną i bliskimi, zamieszkać w stronach nigdy dawniej nie odwiedzanych, stworzyć sobie pozory egzystencji takie, które by nie dopuszczały nawet podejrzenia o działalność konspiracyjną. Partia stała się rodziną, szkołą, kościołem, koszarami. Cały świat pozostający poza jej obrębem był przeznaczony na zburzenie. Znany już jest ogólnie mechanizm psychologiczny stopniowego identyfikowania się poszczególnych bojowników komunistycznych z organizmem kolektywnym. Jest to ten sam mechanizm, który stosują z prawie jednakimi rezultatami niektóre zakony i szkoły wojskowe. Przyjmowano wszelkie dowody ofiarności jako należyty wkład osobisty do „wspólnego okupu”. A trzeba jasno stwierdzić, że więzy jakie nas łączyły z partią wciąż się wzmacniały, i to nie pomimo niebezpieczeństw i ofiar jakie pociągały, ale z powodu nich. To tłumaczy także siłę przyciągania wywieranego przez komunizm na pewną kategorię młodzieży i kobiet, na intelektualistów, na usposobienia wrażliwsze i skłonniejsze od innych do ofiarności i więcej od innych cierpiące z powodu zgnilizny społeczeństwa burżuazyjnego. Dziś jeszcze ci, którzy wyobrażają sobie, że odciągną od komunizmu najpoważniejszych

i najbardziej wartościowych młodych ludzi, dając im możliwość grywania w bilard w dobrze ogrzanim lokalu, wychodzą z nader ograniczonych założeń i wykazują dość niskie pojęcie o naturze ludzkiej.

Nie ma więc w tym nic dziwnego, że pozostałem obojętny wobec pierwszych objawów kryzysu politycznego, które uderzyły w Komintern. Te kryzysy miały swe źródło w fakcie, że główne partie wchodzące w skład nowej organizacji międzynarodowej nie stworzyły bynajmniej jednolitej całości, pomimo formalnego uznania słynnych dwudziestu jeden warunków podyktowanych przez Lenina w celu przyjęcia ich. Łączyła je wprawdzie wspólna odrazą do wojny imperialistycznej i jej następstw, jak również krytyczne stanowisko wobec ustępstw reformatorskich drugiej międzynarodówki; poza tym jednak odzwierciedlały, źle lub dobrze, nierówny poziom rozwoju poszczególnych krajów. Toteż zaznaczała się wyraźna różnica między rosyjskim bolszewizmem, ukształtowanym w środowisku pozbawionym wolności politycznej, w słabo zróżnicowanym społeczeństwie, a grupami lewicy socjalistycznej krajów Zachodu. Historia Kominternu jest zatem historią scysji, intryg i nadużyć kierowniczej grupy rosyjskiej sprzeciwiającej się wszystkim, co było wyrazem niezawisłości przyłączonych partii. Dochodziło więc do tego, że jedni po drugich czuli się zmuszeni do zrywania z Kominternem, ci którzy reprezentowali kierunki ściśle związane z tradycjami parlamentarnymi (Frossard), grupy uznające praworządność i wrogie awanturniczemu „puczom” (Paul Levi), czynniki wolnościowe, które żywiły złudzenia co do sowieckiej demokracji (Roland — Holst), syndykaliści-rewolucjoniści, przeciwni biurokratycznemu podporządkowaniu się syndykatów partii komunistycznej (Pierre Monatte, Andrés Nin), grupy oporne zerwaniu wszelkiej współpracy z masami socjal-demokratycznymi (Brandler, Bingolf, Tascà), wreszcie skrajna lewica, potępiająca oportunistyczne zmiany oblicza (Bordiga, Ruth Fischer, Boris Suwarin). Kryzysy te nie wchłaniały mnie, powstawały bowiem i rozwijały się w strefie dalekiej od tej, w której byłem osobiście głęboko zaangażowany. Nie chwalebę się tym dzisiaj bynajmniej, przeciwnie, próbuję się z tego wytłumaczyć. Wzrastające zwyrodnienie Kominternu w kierunku tyranii i biurokracji wzbudzało we mnie także odrazę i wstręt, miałem

jednak mocne powody wstrzymujące mnie od zerwania: solidarność z towarzyszami walki nieżyjącymi lub uwięzionymi, brak jakiegokolwiek innej, zorganizowanej opozycji przeciw faszyzmowi we Włoszech, nieuchronna i szybko postępująca dekadencja polityczna, a w niektórych wypadkach i moralna, wielu z tych, którzy oddalili się od komunizmu, na koniec złudzenie możliwości uzdrowienia Kominternu z pomocą zachodniego proletariatu, w razie ewentualnego kryzysu wewnętrznego w ustroju sowieckim.

Między r. 1921 a 1927 miałem kilka razy sposobność udania się do Moskwy w celu wzięcia udziału w kongresach i zebraniach, jako członek włoskich delegacji komunistycznych. Co mnie najbardziej uderzyło u komunistów rosyjskich, nawet u tak wyjątkowych indywidualności jak Lenin albo Trocki, to absolutna niezdolność do lojalnej dyskusji na temat przeciwnych im poglądów. Każdy oponent stawał się w ich oczach oportunistą, jeśli nie wręcz zdrajcą i sprzedawczykiem, z tej prostej przyczyny, że śmiał się sprzeciwić. Dla komunistów rosyjskich samo pojęcie przeciwnika w dobrej wierze po prostu nie istniało. Stwierdzanie jak najbardziej bezwzględnych argumentami przez dyskutantów, uważających się za materialistów, prymatu wartości moralnych nad intelektualnymi, było swego rodzaju nieuświadomionym zboczeniem. Słusznie zauważono już przede mną, że przykładów podobnego zaciętrzewienia trzeba szukać daleko wstecz, aż w procesach inkwizycji przeciw heretykom. Kiedy opuszczałem Rosję w r. 1922, Aleksandra Kołłontaj powiedziała mi żartobliwie: „Jeżeli natrafisz na wiadomość w prasie, że Lenin kazał mnie aresztować za kradzież srebrnych sztućców z Kremla, będzie to znaczyło, że nie doszliśmy do całkowitego uzgodnienia swoich poglądów na jakieś drobne zagadnienie z zakresu polityki rolnej lub przemysłowej”. Kołłontaj przyswoiła sobie na Zachodzie poczucie ironii, ale stosowała ją tylko w rozmowie z ludźmi Zachodu. Już wtedy jednak, w gorączkowym okresie tworzenia nowego ustroju, kiedy nowa prawowierność nie opanowała jeszcze całości życia kulturalnego, trudno było nam, komunistom zachodnim, porozumieć się z komunistami rosyjskimi w najprostszych i najoczystszych sprawach. A jakże trudno było, już nie mówię zgodzić się, ale choć przynajmniej zrozumieć się

wzajemnie, po prostu nawet rozmawiać na temat znaczenia wolności dla każdego człowieka Zachodu, także i robotnika. Pamiętam jak usiłowałem w swoim czasie tłumaczyć to przez wiele godzin z rządu kierownicze pewnej państwowej firmy wydawniczej, chcąc doprowadzić do tego by przynajmniej zawstydziła się atmosfery zastraszenia i upokorzenia narzuconej pisarzom sowieckim. Nie mogła żadną miarą zrozumieć, o co mi chodziło.

— Wolność — mówiłem stylem przykładowym — oznacza możliwość wątpienia, popełniania błędów, możliwość stawania w opozycji do wszelkiej władzy, czy to w zakresie literatury, sztuki, czy filozofii, religii, spraw społecznych, czy nawet polityki.

— Ależ — wyszeptała ze zgrozą wybitna pracownica na niwie kultury sowieckiej — to jest kontrrewolucja.

Po czym dodała, usiłując odparować moje argumenty:

— My jesteśmy szczęśliwi bez tej waszej wolności. W zamian za to mamy uzdrawiaczy społecznych.

Na moją uwagę, że wyrażenie „w zamian za to” nie ma sensu, ponieważ wolność nie jest przedmiotem handlu wymiennego, a uzdrawiaczy społecznych spotykałem i w innych krajach, roześmiała mi się w nos.

— Macie dziś widocznie ochotę żartowania sobie ze mnie — powiedziała.

Ta jej naiwna szczerość rozbroiła mnie tak, że nie śmiałem już się jej sprzeciwić. Nie ma gorszej niewoli, niż niewola nieświadomiona.

Widok entuzjazmu młodzieży rosyjskiej w pierwszych latach budowania nowego świata, który, jak wszyscy wierzyli, miał się okazać bardziej humanitarny od starego, był naprawdę porywający. Ale jakże gorzkie było rozczarowanie, gdy z biegiem lat, w miarę umacniania się nowego ustroju, postępu jego polityki gospodarczej i ustanawiania ataków z zewnątrz, okazało się, że demokratyzacja polityczna obiecywana w początkach, zawiodła, przeciwnie zaś, coraz silniej zaznaczał się represyjny charakter dyktatury.

Jeden z najlepszych moich przyjaciół, przywódca rosyjskiej młodzieży komunistycznej, Łazar Szacki, zwierzył mi się pewnego wieczora ze swego żalu, że urodził się za późno, aby uczestniczyć w rewolucjach 1905 i 1917 r.

— Ale jeszcze będą rewolucje — powiedziałem żeby go pocieszyć. — Zawsze będą potrzebne rewolucje, szczególnie w Rosji.

Znajdowaliśmy się na Czerwonym Placu, w pobliżu mauzoleum Lenina.

— Jakiego rodzaju? — spytał. — I jak długo trzeba czekać?

Wskazałem na mauzoleum, wówczas jeszcze drewniane, przed którym na naszych oczach dzień w dzień sunęły nieskończone orszaki obdartych chłopów.

— Sądzę, że żywisz szacunek dla Lenina — rzekłem. — Ja też go znałem i zachowałem we wspomnieniu. Przyznasz zatem, że ten przesyndny kult mumii jest obrazą jego pamięci i hańbą dla Moskwy, miasta rewolucji.

Po czym zaproponowałem mu, krótko mówiąc, wystąpienie się o parę blaszanek benzyny i wyprawienie sobie we własnym zarządzie „małej rewolucji”, przez podłożenie ognia pod ten grat, ten *totem*, symbol zabobonu. Jeśli mam być szczerzy, nie spodziewałem się jego zgody na mój projekt, ale myślałem że przyjmie go śmiechem i dzięki niemu lepiej zrozumie co miałem na myśli, mówiąc że „zawsze będą potrzebne rewolucje”. Tymczasem biedny mój przyjaciel uległ atakowi skrajnego przerażenia i począł się gwałtownie trząść. Następnie prosił mnie o niewypowiadanie nigdy słów tak strasznych, ani w rozmowie z nim, ani, tym bardziej, z innymi. (W dziesięć lat później, tropiony jako współnik Zinowiewa, odebrał sobie życie skacząc na bryk z piątego piętra). Szczególne kaprysy pamięci: byłem świadkiem olbrzymich defilad mas ludowych i sił zbrojnych na Czerwonym Placu, ale wspomnienie przejętego zgrozą głosu mego młodego przyjaciela, tragicznie później zmarłego, pozostało w moim umyśle wyryte głębiej niż jakiegokolwiek inne wrażenie. Być też może, ma większą wagę „historyczną”.

8.

Jednym z nielicznych, z którymi miałem odwagę mówić otwarcie, był Anatol Łunaczarski, który, jak wiadomo,

pełnił w Moskwie od chwili powstania nowego państwa obowiązki komisarza w sprawach oświaty i kultury. Doszło między nami do pewnego zbliżenia od pierwszego spotkania w dość osobliwych warunkach, mianowicie kiedy polecono mu, jako dobrze znającemu język włoski, tłumaczenie na rosyjski pewnych moich drobnych przemówień w teatrze moskiewskim. Rozmowa z nim była zawsze wielką przyjemnością, nie tylko z powodu wspomnianej świetnej znajomości naszego języka i kultury jaką posiadał, ale dlatego także, że umysł jego kształtował się na emigracji, poza ciasnym i sztywnym kręgiem leninizmu, co się przejawiało, między innymi, ciepłym i tolerancyjnym tonem w rozmowie, o stylu prawie zachodnim.

— Proszę z nas nie robić kozła ofiarnego całej naszej historii — powiedział mi raz, kiedy ubolewałem nad ciasnotą umysłową jego urzędników. — W stosunku do was jesteśmy cofnięci nie tylko w dziedzinie techniki. Musimy tutaj dokonać, siłami rewolucji proletariatu, nie tylko rewolucji przemysłowej, która na Zachodzie jest dziełem burżuazji, ale nadto pchnąć naprzód postęp duchowy we wszystkich jego postaciach, u nas nie istniejących. Myśmy nie mieli Machiawela, nie mieliśmy Galileusza; u nas nie działał ani Giordano Bruno ani Cesare Beccaria — żeby ograniczyć się tylko do Włochów. Aby przyswoić sobie ich dorobek, nie wystarczy przetłumaczenie ich tekstów na język rosyjski. To oczywiste.

— W takim razie nie rozumiem — pozwoliłem sobie odeprzec — dlaczego Komintern wysyła do Włoch, celem pouczenia nas, pewne osobistości, które same mają jeszcze dużo do nauczenia się.

— To należy do Zinowiewa — przerwał mi Łunaczarski i przeszedł na inny temat.

Historiografia Kominternu nie jest łatwa, przy tym na pewno jeszcze przedwczesna. Jak wyłuskać z niekończących się dyskusji na kongresach i zjazdach to, co istotne i faktyczne? Które zadrukowane karty poddać pod krytykę myszy gospodarujących w archiwach, a które polecić osobom myślącym i żadnym zrozumienia? Na te pytania nie umiem dać odpowiedzi. To co mi pamięć narzuca tak uporczywie, może się niejednemu wydać co najwyżej dziwaczne, przyznając też bez trudu, że nie zawsze uczuciowość

i osąd ze stanowiska historii spotykają się na jednym planie. Pewnego razu na specjalnej komisji komitetu wykonawczego dyskutowało się o ultimatum postawionym angielskim sekcjom lokalnym przez centralne kierownictwo Trade Unions; był to zakaz przystępowania — pod grozą usunięcia z partii — do ruchu mniejszościowego kierowanego przez komunistów. Po przedstawieniu przez reprezentanta angielskiej partii komunistycznej poważnych stron ujemnych zagadnienia, polegających na tym, że w razie zgody należało wziąć pod uwagę rozwiązanie ruchu mniejszościowego, w razie odmowy zaś opuszczenie Trade Unions przez mniejszościowców — delegat rosyjski Piatnicki wysunął propozycję wyjścia z trudności, w jego pojęciu równie oczywistą jak jajko Kolumba.

— Niech sekcje oświadczą gotowość poddania się żądaniu stawianemu przez dyscyplinę partyjną, a następnie, w praktyce, niech postępują wręcz przeciwnie.

Komunista angielski przerwał:

— To by było kłamstwo.

Ten naiwny sprzeciw został przyjęty gromkim wybuchem śmiechu. Był to śmiech szczery, niewymuszony, długotrwały, jaki nigdy przedtem nie rozlegał się w posępnym lokalu biur Kominternu, a tak rozgłośny, że wnet dotarł aż do Moskwy: ucieszna odpowiedź Anglika została bowiem natychmiast przekazana telefonicznie Stalinowi i głównym urzędom państwowym, wywołując wszędzie, jak dowiedzieliśmy się później, nowe wybuchy zdumienia i wesołości. Jakże ważną jest rzeczą — pomyślałem wówczas — chćąc wyrobić sobie sąd o ustroju, wiedzieć co go pobudza do śmiechu.

Moje pobyty w Moskwie były, jak wspominałem, nie-liczne i ograniczone do czasowych funkcji włoskich delegacji komunistycznych. Nigdy nie wchodziłem w skład centralnego aparatu Kominternu, ale mógłbym prześledzić drogę jego szybkiej korupcji opierając się na obserwacji niektórych spośród moich znajomych, którzy w niej działali. Jednym z nich, mogącym naprawdę służyć za przykład, był Francuz Jacques Doriot. Pierwszy raz spotkałem go w Moskwie w r. 1921, jako młodego robotnika, wówczas jeszcze skromnego, ożywionego dobrymi chęciami, sentymentalnego; jego widoczna uległość i pocziwość sprawiły

że wybrano do aparatu międzynarodowego właśnie jego, a nie innego spośród młodych komunistów francuskich, inteligentniejszych od niego i bardziej wykształconych, ale też zanadto się wyróżniających. Doriot sprostał całkowicie oczekiwaniom. Z każdym rokiem wzrastał jego autorytet wśród działaczy komunistycznych na gruncie międzynarodowym i z każdym rokiem, ilekroć nadarzyła się okazja spotkania się z nim, konstatowałem w nim zmianę na gorsze. Stawał się coraz to bardziej sceptyczny, coraz to bardziej cyniczny, pozbawiony skrupułów, a poglądy jego na ludzi i na państwo pod kątem polityki ulegały w szybkim tempie procesowi „faszyzacji”. Gdybym mógł się zdobyć na pokonanie odrazy, chyba dostatecznie zrozumiałej, decydując się na napisanie jego prawdziwej biografii, rozwinąłbym temat następujący: „Jak stać się faszystą będąc bojownikiem komunizmu”. W r. 1927 spotkałem Doriota w Moskwie w dniu jego powrotu z misji politycznej w Chinach. Złożył kilku moim przyjaciołom i mnie niepokojące sprawozdanie z błędów popełnianych na Dalekim Wschodzie przez Komintern i państwo rosyjskie. Ale nazajutrz, na ważnym zebraniu komitetu wykonawczego, wygłaszał z wielką emfazą zapewnienia wręcz przeciwnie. Słuchaliśmy w osłupieniu. „Był to z mojej strony akt mądrości politycznej” — zwierzył się nam po posiedzeniu z uśmiechem wywyższości. Jego przykład zasługuje na uwagę, bo nie jest bynajmniej odosobniony. Sprawy wewnętrzne komunizmu francuskiego wpłynęły następnie na to, że Jacques Doriot opuścił Komintern i dał się poznać jako awanturnik, na jakiego się rzeczywiście w tym czasie wy kierował. Wielu innych jednak, w gruncie rzeczy niczym się od niego nie różniących, pozostało nadal u kierownictwa partii komunistycznych. Do takich to objawów dwulicowości i demoralizacji w kadrach Kominternu czynił aluzję Togliatti w zakończeniu swej mowy na VI kongresie Kominternu, powołując się na słowa wypowiedziane przed śmiercią przez Goethego: „Więcej światła!”.

Poza wewnętrznymi tarciami wynikłymi z niezgodnienia jego składników, Komintern cierpiał z przyczyny natychmiastowego oddźwięku, jakie znajdowało w jego łonie każde zawikłanie powstałe w Związku Sowieckim. Po śmierci Lenina stało się jasne, że Sowiety nie mogą się uchylić od tego, co wydaje się nieuniknione w każdej dyktaturze:

stopniowe, nieuchronne zacieśnianie się kręgu członków kierownictwa, powołanych do kontroli władzy politycznej. Rosyjska partia komunistyczna, która obaliła wszystkie partie konkurencyjne i zniósła wszelką możliwość dyskusji o polityce ogólnej na zebraniach sowieckich, stała się sama ofiarą ustroju wyjątkowego: dążenia polityczne jej członków zostały szybko wchłonięte i zastąpione przez dążenia polityczne aparatu centralnego. Od tej chwili każde odchylenie przekonaniowe w grupie kierowniczej kończyło się nieuchronnie zmiażdżeniem fizycznym mniejszości przez państwo. Rewolucja, która zniszczyła swych wrogów, pożerała teraz najlepszych swoich synów. Bogowie łaknący krwi już odtąd nie spoczęli. Optymistyczne zdanie Marksa o naturalnym zaniku państwa socjalistycznego okazało się pobożnym złudzeniem.

9.

W maju 1927 r. uczestniczyliśmy z Togliattim, jako przedstawiciele włoskiej partii komunistycznej, w nadzwyczajnym zebraniu rozszerzonego komitetu wykonawczego Kominternu, Togliatti wyruszał z Paryża, gdzie był na czele sekretariatu politycznego partii, ja zaś z Włoch, gdzie kierowałem jej wewnętrzną organizacją. Spotkaliśmy się w Berlinie i stamtąd udaliśmy się razem do Moskwy. Zebranie było zwołane pozornie w celu nie znoszących zwłoki obrad nad dyrektywami, jakich należało udzielić poszczególnym partiom komunistycznym w zwalczaniu „grożącej niechybnie wojny imperialistycznej”, ale w rzeczywistości, jak się okazało, dla rozpoczęcia „likwidacji” Trockiego i Zinowiewa, wówczas jeszcze członków międzynarodowego komitetu wykonawczego. Jak zwykle, aby uniknąć niespodzianek, każde zebranie plenarne było poprzedzone i przygotowane aż do najdrobniejszych szczegółów przez tzw. *Senior convent*, czyli komisję starszyzny, utworzoną przez szefów najważniejszych delegacji. Togliatti nalegał ażebym mu towarzyszył na tych poufnych posiedzeniach, na które z reguły on jeden z członków delegacji włoskiej miał prawo wstępu, słusznie jednak przewidując możliwość komplikacji, wołał

mieć podporę w przedstawicielu tajnej organizacji. Na pierwszym posiedzeniu, w którym uczestniczyliśmy, odniosłem wrażenie, że przybyliśmy za późno. Obradowaliśmy w małym biurze, w siedzibie Kominternu, pod przewodnictwem Niemca Ernsta Thälmana, który zaraz na wstępie odczytał projekt rezolucji przeciw Trockiemu, przeznaczony do przedstawienia na zebraniu plenarnym. Ten projekt rezolucji potępiał w najgwałtowniejszych słowach pewien dokument, złożony przez Trockiego rosyjskiej partii komunistycznej. Zupełnie wyjątkowo, delegacja rosyjska na to posiedzenie *Senior convent*'u składała się ze Stalina, Rykova, Bucharina i Manuilewskiego. Skończywszy lekturę, Thälmann spytał nas, czy zgadzamy się z treścią projektu rezolucji. Fiński delegat Ottomar Kuusinen, późniejszy „Quisling” z r. 1941, uznał go za niedość gwałtowny.

— Trzeba otwarcie powiedzieć — doradzał — że dokument przedstawiony przez Trockiego urzędowi politycznemu rosyjskiej partii komunistycznej, ma charakter zdecydowanie kontrrewolucyjny i jest oczywistym dowodem, że ten kto go pisał nie ma już nic wspólnego z klasą robotniczą.

Ponieważ nikt inny nie prosił o głos, wystąpiłem po naradzeniu się z Togliattim i przeprosiłem obecnych za zbyt późne przybycie, które nie pozwoliło mi zapoznać się z treścią omawianego dokumentu.

— Prawdę powiedziawszy — oświadczył szczerze Thälmann — my także nie znamy treści tego dokumentu.

Wobec takiej odpowiedzi, nie dowierzając własnym uszom, powtórzyłem swe zastrzeżenie innymi słowami:

— Być bardzo może — rzekłem — że dokument wy stosowany przez Trockiego jest godny potępienia, rzecz jest jednak oczywista, że nie mogę go potępić przed zaznajomieniem się z jego treścią.

— My także — powtórzył Thälmann — nie czytaliśmy go, równie jak większość innych tu obecnych delegatów, z wyjątkiem delegacji rosyjskiej.

Thälmann mówił po niemiecku; tłumaczono go dla Stalina na rosyjski, a dla paru z nas na francuski. Przekazana mi odpowiedź wydała mi się tak niewiarogodna, że zwróciłem się przeciw tłumaczowi.

— Niepodobieństwo — oświadczyłem — aby Thälmann wyraził się w ten sposób. Proszę o powtórzenie mi jego odpowiedzi słowo w słowo.

W tym momencie wtrącił się Stalin. Stał wyprostowany z boku i jedyny wśród obecnych wydawał się spokojny i pogodny.

— Urząd polityczny partii — rzekł Stalin — uznał, że nie należy tłumaczyć dokumentu Trockiego i rozpowszechniać go wśród delegatów komitetu wykonawczego, ponieważ znajduje się w nim kilka aluzji do polityki Związku Sowieckiego w Chinach.

(Stalin kłamał. Tajemniczy dokument był potem ogłoszony drukiem za granicą staraniem samego Trockiego, w broszurze pod tytułem „Problemy rewolucji chińskiej”, i każdy może dziś jeszcze sprawdzić, że nie zawiera on żadnej tajemnicy stanu, lecz jedynie oparte na ścisłej argumentacji oskarżenie polityki Stalina i Kominternu w stosunku do Chin. W istocie, w przemówieniu, które Stalin wygłosił 5 kwietnia 1927 r., przed Sowietem moskiewskim, wynosił on zasługi Czang-Kai-szeka i zapewniał o swym zaufaniu do Kuomintangu, choć tydzień zaledwie upłynął od słynnego antykomunistycznego wystąpienia przywódcy nacjonalizmu chińskiego i jego partii, kiedy usunięto nagle komunistów z Kuomintangu, zamordowano kilka tysięcy robotników w Szanghaju, a w miesiąc później w Wuhan. Zrozumiałe, że Stalin nie miał ochoty wszczynać debaty nad swoją błędną kalkulacją i wołał się schronić w cieniu racji stanu).

Ernst Thälmann spytał mnie, czy uznałem wyjaśnienie Stalina za dość wyczerpujące.

— Nie kwestionuję prawa urzędu politycznego rosyjskiej partii do zachowywania jakichkolwiek dokumentów w tajemnicy — odparłem. — Nie pojmuję jednak, jak można innym zalecać potępienie dokumentu, którego nie znają.

Oburzenie jakie wybuchło przeciwko mnie i Togliattiemu, który zdawał się przyznawać mi rację, nie miało granic, zwłaszcza ze strony wspomnianego już Finna, a także paru Bułgarów i Węgrów.

— Niesłychane — wrzeszczał Kuusinen, czerwony jak burak — żeby tutaj, w cytadeli światowej rewolucji, byli przyjmowani podobni drobnomieszczanie!

Słowo „drobnomieszczanie” wymawiał z przezabawnym wyrazem pogardy i obrzydzenia.

Jedynie Stalin, sam jeden z całego zgromadzenia, zachował niezmałąny spokój.

— Jeżeli choć jeden z delegatów sprzeciwia się przed-

stawieniu projektu rezolucji — wyrzekł — projekt nie powinien być przedstawiony.

Po czym dodał:

— Towarzysze Włosi nie są może dostatecznie zorientowani o naszej sytuacji wewnątrz kraju. Proponuję odłożenie posiedzenia do jutra i wyznaczenie któregoś z obecnych do spędzenia wieczoru z towarzyszami Włochami w celu wyjaśnienia im sytuacji wewnątrz kraju.

To niewdzięczne zadanie powierzono Bułgarowi nazwiskiem Wasil Kolarow. Podjął się go z dobroduszną uprzejmością. Zaprosił nas wieczorem na szklanek herbaty do swego pokoju w hotelu Lux i przystąpił bez ogródek do drażliwego tematu.

— Mówmy jasno — zaczął z uśmiechem. — Myślicie może, że ja czytałem ten dokument? Nie, nie czytałem dokumentu. Mam wyznać prawdę? Ten dokument ani trochę mnie nie interesuje. Mam powiedzieć jeszcze więcej? Nawet gdyby Trocki przysłał mi w tajemnicy jego kopię, odmówiłbym przeczytania. Drodzy włoscy przyjaciele, tu wcale nie chodzi o dokumenty. Wiadomo, że Włochy są klasyczną ojczyzną akademii, ale tu nie jesteśmy na akademii. Tu idzie zaciekle walka o władzę dwóch współzawodniczących grup rosyjskiego kierownictwa centralnego. Do której z tych dwóch grup mamy się przyłączyć? Oto jest pytanie. Dokumenty nie mają w tym nic do roboty. Nie idzie wcale o dochodzenie prawdy historycznej o nieudanej rewolucji chińskiej. Idzie o zażartą walkę, walkę o władzę między dwiema wrogimi grupami. Trzeba wybierać. Jeśli o mnie chodzi, już wybrałem. Jestem po stronie większości. Cokolwiek powie lub uczyni mniejszość, powtarzam, że jestem za większością. Dokumenty nic mnie nie obchodzą. Nie jesteśmy tu na akademii.

Nalał herbaty do szklanek, przypatrując się nam jak nauczyciel niesfornym uczniom.

— Czy jasno się wytłumaczyłem? — spytał, zwracając się wprost do mnie.

— Niewątpliwie — odrzekłem. — Bardzo jasno.

— Przekonałem cię?

— Nie — odpowiedziałem.

— Dlaczego nie? — nalegał.

— Musiałbym wytłumaczyć — powiedziałem — dlaczego jestem przeciwnikiem faszyzmu.

Kolarow udał oburzenie, Togliatti zaś wyraził swoje zdanie w słowach bardziej umiarkowanych, ale nie mniej stanowczych.

— Nie można oświadczać się za większością czy mniejszością przed wyrobieniem sobie sądu — rzekł. — Nie można zaniedbać zbadania aż do dna zagadnienia politycznego.

Kolarow słuchał z uśmiechem dobrotliwej wyrozumiałości.

— Jesteście jeszcze zbyt młodzi — powiedział, odprowadzając nas do drzwi. — Jeszcze nie rozumiecie, co to jest polityka.

Następnego ranka zebrał się znów *Senior convent* i znów się powtórzyła scena z dnia poprzedniego. W małym lokalu biurowym, gdzie wtłoczono nas około dwunastu, panował nastrój niezwykle nerwowy. Delegacja rosyjska stała się znowu w komplecie.

— Wyjaśnięś towarzyszom Włochom o co chodzi? — spytał Stalin Kolarowa.

— Jak najobszerniej — zapewnił Bułgar.

— Jeżeli jeden tylko z delegatów — powtórzył Stalin — sprzeciwia się przedstawieniu projektu rezolucji, projekt rezolucji nie będzie przedstawiony na posiedzeniu plenarnym. Rezolucja przeciw Trockiemu może być powzięta tylko jednomyślnie. Czy towarzysze Włosi — dodał, zwracając się do nas — skłaniają się do uznania projektu rezolucji?

Po naradzie z Togliattim oświadczyłem:

— Przed wzięciem pod rozwagę projektu rezolucji musimy się zapoznać z treścią dokumentu, potępionego przez tę rezolucję.

Identyczne oświadczenie złożyli dwaj inni delegaci: Francuz Albert Treint i Szwajcar Jules-Humbert Droz. (Obydwaj po kilku latach wyszli również z Kominternu).

— Wycofuje się projekt rezolucji — oświadczył Stalin.

Po czym byliśmy ponownie świadkami histerycznych scen, jak poprzedniego dnia. Kuusinen, Rakosi i Pepper protestowali, nie posiadając się z oburzenia*). Thälmann

*) Prawdziwość tej relacji została potwierdzona, a także w pewnym stopniu uzasadniona, przez Palmira Togliatti, który pisze co następuje (ustęp z artykułu w „Unita”, 6 stycznia 1950):

„Przystępuję od razu do zreferowania faktu, który Silone sta-

wywiódł z naszej skandalicznej postawy podejrzenie, że kierunek naszej działalności antyfaszystowskiej we Włoszech i był błędny, i że trzymanie się faszyzmu nadal mocno przy

wia na pierwszym miejscu swego opowiadania, jako największy skandal: zebranie rozszerzonego komitetu wykonawczego Kominternu w maju 1927 r. Rzecz działa się rzeczywiście tak jak opowiada Silone (poza drobnymi nieścisłościami bez znaczenia, na których nie będę się zatrzymywał), nie jestem jednak w stanie zrozumieć, jak można uważać to co zaszło na zebraniu za dowód „intryg i nadużyć, skierowanych przeciw wszystkiemu, co wyrażało niezależność ze strony członków partii”. Na tym zebraniu delegacja partii rosyjskiej (bolszewickiej) przedstawiła projekt rezolucji przeciw Trockiemu i trockistom. Delegaci francuscy, włoscy, szwajcarscy, hiszpańscy (i jeśli dobrze pamiętam, belgijscy) oświadczyli, że nie są jeszcze dostatecznie przekonani o konieczności głosowania za projektem. Chodziło o partię, które z różnych powodów nie miały wówczas bezpośrednich informacji o sposobie, w jakim toczyła się w partii rosyjskiej walka przeciw trockizmowi. My, komuniści włoscy, musieliśmy, słusznie czy nie, brać pod uwagę konieczność zorientowania w sytuacji naszych kadr w kraju i po więzieniach; mogliśmy mieć obawy, słuszne czy nie, powtarzam, że decyzja powzięta na tym zebraniu nie zostanie jeszcze przez wszystkich zrozumiana. Lecz coż uczynili towarzysze Rosjanie? Sam Silone mówi: „Jeżeli jeden tylko z delegatów — *powiedział Stalin* — sprzeciwia się przedstawieniu projektu rezolucji, projekt nie będzie przedstawiony na posiedzeniu plenarnym”. Wspomniane delegacje nie zmieniły zdania i projekt został wycofany. Czy takie zachowanie się można uważać za „nielojalne”, „bezwzględne”, tłumiące wszelkie próby niezależnego wypowiedzenia się? Wręcz przeciwnie, powiedziałbym. Wiedząc, że działamy „w dobrej wierze”, działający również „w dobrej wierze” towarzysze Rosjanie uszanowali „wolność” naszego niewystarczającego jeszcze przekonania, zgodzili się byśmy poczekali, zdobyli doświadczenie itd. itd., czyli postąpili dokładnie w ten sposób, w jaki — jak twierdzi Silone i inni renegaci — nie byli zdolni postąpić. Nie często zdarza się spotkać oszczercę, który by w ten sposób, własnymi słowami, przytoczonym przez siebie przykładem zniweczył własne oszczerstwo!

„Osądzając sprawę z dzisiejszej perspektywy, przyznaję że nasza powściągliwość wobec propozycji bolszewików była nie na miejscu. Miał rację Stalin, który lepiej od nas znał się na gatunku zdrajców takich jak Trocki. A komitet wykonawczy, który wkrótce potem potępił bezwzględnie Trockiego, składał się z towarzyszy, podziеляjących jego przekonanie, ci bowiem zdołali także już je zdobyć. I komitet miał prawo to uczynić. Niemniej my, gdybyśmy chcieli, mogliśmy doskonale, nie ryzykując nic więcej ponad wszczęcie dyskusji, zgłosić naszą niezgodę. Nie tylko nie zrobiliśmy tego, rozumiejąc już wówczas jak sprawa się rozwijała, ale sam Silone nie uczynił najłżejszej nawet próby podobnej propozycji. Co do meritum sprawy, rozstrzygnięta historia: linia obrony wytyczona przez Stalina w rewolucji chińskiej doprowadziła Mao Tse-tunga do znanych ogólnie zwycięstw. Trocki zaś utonął w zdradzie...”.

władzy było naszą winą. Żądał wobec tego przesłania przez jak najgęstsze sито kierownictwa polityki włoskiej partii komunistycznej.

Przesłuchanie inkwizycyjne odłożono na później, a tymczasem rozpoczęły się posiedzenia plenarne komitetu wykonawczego, nie pozbawione dalszych pouczających epizodów. Na pierwszym z takich posiedzeń zaszedł incydent, który potwierdził powagę rozłamu wewnątrz rosyjskiej grupy kierowniczej, mającego być rozstrzygniętym z brutalną bezwzględnością. Posiedzenie ledwie się zaczęło, gdy przybył Grzegorz Zinowiew, członek zwyczajny komitetu wykonawczego; mimo to został zatrzymany u wejścia przez dwóch umundurowanych policjantów. Lew Trocki, który siedział obok mnie i Togliattiego, i był świadkiem tej sceny, zerwał się i zawiadomił zgromadzenie o tym niesłychanym akcie gwałtu.

— Zinowiew, członek komitetu wykonawczego — wołał — Zinowiew, którego zamianowano prezesem Kominternu na wniosek Lenina i który piastował tę godność jeszcze kilka miesięcy temu, został zatrzymany w drzwiach przez policję, zabroniono mu wstępu na salę!

Zajście to było najwidoczniej oczekiwane i uznane przez pozostałych członków delegacji rosyjskiej za sprawę załatwioną.

— Zinowiew — oświadczył Piatnicki — zrezygnował z prezesury i z członkostwa komitetu wykonawczego podczas ostatniego posiedzenia.

Ku ogólnemu zdziwieniu Togliatti poprosił o głos.

— Przewodniczyłem temu posiedzeniu — oznajmił. — Otrzymałem zlecenie, właśnie od delegacji rosyjskiej, powiadomienia obecnych na zebraniu że wprawdzie Zinowiew ustępuje ze stanowiska naszego prezesa, lecz, jak mi zalecono zaznaczyć, pozostaje nadal członkiem komitetu wykonawczego, będąc nim z nominacji kongresu.

Tymczasem Zinowiew stał w progu, wciąż przytrzymywany przez policjantów.

— Incydent zamknięty — oświadczył oschle Thälmann, który przewodniczył. — Zinowiew nie jest już uważany za członka komitetu wykonawczego.

Przyznaję, że moje reakcje na tak nieprawdopodobne wydarzenia były dość nieostrożne. Wyrażała się w nich nie

tyle wyższość moralna, ile naiwna bezpośredniość zbuntowanego młodzieńca z prowincji, nie zarażonego jeszcze chłodem kalkulacji politycznych. Pytałem Togliattiego: „Jak sądzisz, czy podobne postępowanie jest w zwyczaju w kolegium kardynalskim? albo w faszystowskiej Radzie Głównej?”. Jeżeli aż do owej chwili zachowywałem się wobec Trockiego, który zajmował nadal miejsce obok nas, w sali zebrań, z pewną rezerwą, nie miałem bowiem dla niego większych względów niż dla Stalina — zrozumiały impuls w odpowiedzi na bezczelne objawy nienawiści, okazywane mu z ostentacją przez służalcze kreatury aparatu partyjnego, skłonił mnie do przybrania wręcz przeciwnej postawy. Nie był to już ten popularny wódz armii czerwonej, który ukazał się w r. 1921 otoczony aureolą ocalenia Piotrogradu, ale stary lew zwabiony na dno jamy, w której miał być spętany lub zabity. Dla tych co pilnowali go, nie spuszczaając go z oka, każdy jego ruch, każde słowo nabierało nadmiernej wagi. Przypominam sobie, że w czasie jednego z posiedzeń dałem Trockiemu kilka numerów tajnego pisemka turyńskiego. Ujęty moim gestem, opowiedział mi o redagowaniu przezeń podobnego pisemka, skierowanego przeciw caratowi, za jego studenckich czasów. Włochy znał słabo, był tam tylko przejazdem, ale wspominał je z przyjemnością. Zwierzył mi się, że miał stamtąd miłe wspomnienia dzięki przeżyciom związanym z „piękną przyjaźnią”. W istocie, nieliczne słowa, jakie zapamiętał z naszego języka, zdradzały swym wdziękiem pochodzenie od kobiety. Prowadziliśmy te przyjacielskie rozmowy podczas przerw w debatach politycznych i podczas tłumaczenia przemówień; nie uchodziły one, jak zaznaczyłem, podejrzliwych spojrzeń członków aparatu partyjnego. Jeszcze oczywistsza okazała się zmowa moja i Togliattiego z Trockim, kiedy ten na zakończenie długiego i gwałtownego przemówienia, w którym zaatakował m.in. obecnego na sali Węgry Belę Kuna, przytoczył — tłumacząc się z użycia — „języka Dantego”, rzekome powiedzenie, że „zachowanie się Beli jest niepiękne” (Bela — bella). Jakkolwiek ten żartobliwy kalambur, doraznie przezeń wymyślony (na tyle właśnie starczyło mu znajomości języka włoskiego), zaskoczył nas nie mniej niż resztę obecnych, przypisano nam, bez sprawdzania, jego pochodzenie, co powiększyło liczbę naszych ciężkich przekroczeń politycznych.

Słowem zaczynało się, jak to mówią, „robić ciepło” dokoła nas. Policja śledziła nas nieustannie i dokuczała nam na wszelkie sposoby, co wywoływało odruchy zniecierpliwienia z mojej strony; ale pozorny spokój Togliattiego podzielał wkrótce i na mnie pokrzepiająco.

Togliatti uznał za właściwe, celem wyraźnego określenia naszej postawy na owym posiedzeniu komitetu wykonawczego, wystosowanie przez nas obu listu do urzędu politycznego rosyjskiej partii komunistycznej, przed opuszczeniem Moskwy. Żaden z komunistów — opiewał ten list — nie czuje się powołany do kwestionowania prymatu historycznego towarzyszy Rosjan w kierownictwie Kominternu. Ale ten przywilej obciąża Rosjan specjalnymi zadaniami: nie wolno im stosować swych uprawnień w sposób mechaniczny i bezwzględny. Po otrzymaniu naszego listu Bucharin, który go przeczytał, wezwał nas natychmiast do siebie i doradził po przyjacielsku wycofanie go, jeśli nie chcemy jeszcze bardziej pogorszyć naszego dość już narażonego położenia.

Nastąpiły dla mnie dni ciężkiego zniechęcenia. Zapytywałem siebie: A więc taki jest komunizm? Do tegośmy doszli? Po to nieśli w ofierze życie ci którzy padli i ci co dogorywają po więzieniach? Tyle się osiągnęło, wiodąc tułaczą i samotną egzystencję, wśród ciągłych niebezpieczeństw, we własnej ojczyźnie?

Pod maską instytucji stworzonych przez rewolucję, rzeczywistość rosyjska zaczęła ulegać zmianom, zgodnie z prawami obniżki wartości, których oficjalna doktryna nie przewidywała. Czy tak gwałtowną degenerację, na skutek tyranii, jednej z największych rewolucji w historii świata, należało przypisać samej zasadzie socjalizmu i upaństwowienia własności? Czy też był to rezultat ideologii leninizmu i właściwych jej form organizacyjnych? Czy może tylko zacofania stosunków rosyjskich?

Zanim opuściłem Moskwę odwiedził mnie, w nadziei zdobycia pociechy i zachęty, pewien komunista włoski, robotnik od lat zbiegły do Rosji przed wyrokiem sądu faszystowskiego, skazującego go na wieloletnie więzienie. (Zdaje mi się, że pozostał on po dziś dzień komunistą). Przyszedł uskarżać się na upokarzające stosunki w cechu pracowników fabryki moskiewskiej, która go zatrudniała. Go-

tów był znieść najdalej idące ograniczenia materialne, skoro oczywiście polepszenie warunków nie zależało wyłącznie od dobrej woli zwierzchnictwa; czego jednak nie był w stanie zrozumieć, jak mówił, to całkowitej zależności robotnika od łaski i niełaski zarządu fabryki, zamiast żeby miał on do skutecznej dyspozycji jakikolwiek organ opiekuńczy. W istniejącym stanie rzeczy położenie jego było i pod tym względem dużo gorsze niż w krajach kapitalistycznych. Większość tyle zachwalanych praw klasy robotniczej była czystą abstrakcją. Bankructwo okazywało się więc zakrojone na znacznie szerszą skalę niż przypuszczałem.

Podczas podróży powrotnej, w Berlinie, przeczytałem w gazetach, że komitet wykonawczy Kominternu potępił surowo Trockiego za jego relację o wydarzeniach w Chinach. Udałem się do siedziby niemieckiej partii komunistycznej, aby zażądać wyjaśnień od Thälmana. „To jest nieprawda — powiedziałem ostro. — Sam wiesz dobrze, że nie zapadła uchwała potępiająca”. Wytłumaczył mi, że statut Kominternu upoważniał przewodnictwo do podejmowania w nagłych wypadkach decyzji w imieniu komitetu wykonawczego. Czekano więc na nasz wyjazd z Moskwy, ażeby głosować w naszym imieniu za uchwałą przez nas nie zaaprobowaną. To wyjaśniało pozornie niewzruszoną postawę Stalina wobec *Senior convent*'u. Podczas kilku dni przymusowego postoju w Berlinie, wynikłego z oczekiwania na doprowadzenie do porządku moich fałszywych papierów umożliwiających mi powrót do Włoch, czytałem w prasie o ostrym potępieniu pisma Trockiego skierowanym do kierownictwa politycznego rosyjskiej partii komunistycznej przez partię amerykańską, węgierską i czechosłowacką.

— A więc w końcu — spytałem Thälmana — udośćpniono zaznajomienie się z treścią tajemniczego dokumentu?

— Nie — odpowiedział. — Ale ty powinienes nauczyc się dyscypliny komunistycznej od komunistów amerykańskich, węgierskich i czechosłowackich.

Było to powiedziane bez najłżejszej ironii, przeciwnie, z posępną powagą, najzupełniej odpowiadającą ponurej rzeczywistości, straszącej nas jak zmora.

Było to lato 1927 r. Pozostawałem w zarządzie centralnym partii, w pełni działania, obarczony ważnymi zleceniami, aż do wiosny 1929 r., kiedy prosiłem o bezterminowy urlop z powodu poważnego nadwężenia zdrowia, i otrzymałem go. Lecz dopiero w lecie 1931, kiedy znajdowałem się wciąż jeszcze poza obrębem działalności politycznej doszło — w następstwie różnych wydarzeń, o których będzie mowa za chwilę — do definitywnego mojego zerwania z partią, po czym zostałem z niej „wydalony”. Jak było moralnie wytłumaczalne, po ostatnim pobycie w Moskwie, moje tak długie jeszcze pozostawanie w partii? To pytanie zawiera zarzut o charakterze nie tylko polemicznym, zewnętrznym; zwracałem je później do siebie po wiele razy, i to bardzo poważnie. Innymi słowy, dlaczego potrzebowałem aż czterech lat, aby wydostać się z konfliktu, którego rozwiązanie zajęłoby mi dzisiaj kilka minut? Mogę zaręczyć, że nie było nic nieszlachetnego w prawdziwych motywach mego postępowania. Polemika z Togliattim zmusza mnie teraz do wyłożenia ich, co postaram się uczynić, jakkolwiek poruszanie tych spraw jest wciąż jeszcze nader dla mnie bolesne. Lecz ostatecznie, jeśli tak droga jest mi dzisiaj wolność, to dlatego że wiem, ile wycierpiałem dla zdobycia jej.

Togliatti został zatem zmuszony do pokajania się na łamach organu swojej partii, z powodu pisma Trockiego (serdecznie mu życzę, aby nie był zmuszony do uczynienia tego przed trybunałem rosyjskim), do bicia się w piersi za swe poważne wahania i wątpliwości w związku z przejściem od bucharinizmu do stalinizmu, to znaczy od frakcji, która popadła w niełaskę, do nowej i mocniej ustalonej większości. Ze swej strony przyznaję bez trudu, w odniesieniu do tego okresu, że był on okresem poważnego przełomu, dla mnie osobiście także, ale z przyczyn, rzecz jasna, wręcz przeciwnych niż dla Togliattiego, natomiast z większym, jak mi się zdaje, uzasadnieniem, o wiele trudniejsze bowiem było pozostawienie wszystkich frakcji rosyjskiego leninizmu ich własnemu losowi, aby stać się znowu po prostu wolnym człowiekiem. Istnieje przymus spowiedzi publicznej, przymus o charakterze dyscyplinarki, narzuconej przez biurokrację i wymuszanej ze względu na prawomyśl-

ność, lecz mogą być także wyznania dobrowolne, płynące z pokonania w sobie uczucia „strachu”. Dlaczego zatem cofnąłem się aż do r. 1927 by wyjaśnić genezę formalnego zerwania z partią komunistyczną, które nastąpiło dopiero w r. 1931? W związku z tym muszę uczynić ważne zastrzeżenie wstępne: w określeniu zaczątków i rozwoju przemian zachodzących w sumieniu, chronologia pamięci jest pewniejsza i bardziej godna zaufania niżeli chronologia archiwalna. Pamięć bowiem uwzględnia skryte związki nawet pomiędzy faktami oderwanymi i dalekimi od siebie, zbliża je, kojarzy, ustala rzeczywistą ciągłość istnienia. To było powodem, dla którego, pragnąc na początku tego opowiadania zrekonstruować okoliczności mojego wczesnego przystąpienia do socjalizmu, uważałem za stosowne przypomnienie wydarzeń z mojej wczesnej młodości, a nawet dzieciństwa.

W rozterce jaką spowodowały we mnie nieprawdopodobne wydarzenia moskiewskie z r. 1927, na pierwszym planie nie działały — i ten moment trzeba od razu wyjaśnić — wartości oderwane, chętnie przez niektórych pisane dużą literą, jak Prawda, Dobro, Honor, ale (czytelnicy posiadający pewne doświadczenie pewnie już to wyczuli) motywy psychologiczne i polityczne, oraz interesy partii, najpilniejsze i najbliższe ją obchodzące. W gruncie rzeczy był to jeden z wielu epizodów wywołanych trudnością uzgodnienia europejskiego socjalizmu rewolucyjnego z komunizmem rosyjskim cofającym się od rewolucji. Nie najmniejszą trudność przedstawiały, poza rozbieżnością metod w ocenie sytuacji lokalnych, także i różnice obyczajowe. Lecz dla mnie konflikt ten nabrał stanowczego znaczenia wyboru moralnego dopiero w swej końcowej fazie. Warto zauważyć, że ci członkowie komitetu wykonawczego, którzy podczas zajścia opowiedzianego tu przeze mnie sprzeciwili się potępieniu z zamkniętymi oczyma dokumentu, którego czytania im odmówiono, począwszy od Francuza Alberta Treint, skończywszy na Szwajcarze Jules-Humbert Droz, wszyscy z wyjątkiem jednego Togliattiego opuścili partię komunistyczną. Działo się to w różnych epokach, między r. 1928 a 1940, z nader skomplikowanych przyczyn osobistych lub zbiorowych.

Ostatnia podróż do Moskwy odsłoniła w moich oczach zasadnicze cechy komunizmu, nigdy przeze mnie nie podej-

rzewane, a w każdym razie nie w tym stopniu: mianowicie, jak bardzo był on złożony i pełen sprzeczności. Moja znajomość komunizmu ograniczała się co prawda do jednego odcinka: podziemnej walki przeciw faszyzmowi. Pobyt w Moskwie ukazał mi odwrotną stronę medalu. Oto komunizm, wyszedłszy z najgłębszych przeciwności życia nowoczesnego, odtwarzał je wszystkie w swoim łonie w jeszcze ostrzejszej i bardziej rozjątrzonej formie, choć w odmiennych warunkach i w zależności od innych urządzeń społecznych. Pod jego flagą walczyli buntownicy i prześladowcy, bohaterowie i skrytobójcy, wyzyskiwani i wyzyskiwacze; walczyli dziennikarze narażający życie w bojach o nieograniczoną wolność prasy i tacy, którzy ogłaszali apologię cenzury i domagali się zniesienia prasy opozycyjnej; oskarżeni powołujący się na podstawowe gwarancje prawne przed trybunałami specjalnymi faszyzmu — i sędziowie, odmawiający oskarżonym wszelkiej możliwości udowodnienia braku winy; syndykaliści organizujący strajki w obronie warunków życia pracowników — i tacy, którzy uważali ustawowe zniesienie prawa strajku i zaprowadzenie masowych robót przymusowych za uzasadnioną podstawę nowego systemu gospodarczego; posłowie dobijający się o rozszerzenie kontroli społeczeństwa nad każdym posunięciem rządu — i rządzący w imię absolutyzmu, w praktyce znajdujący się poza wszelką kontrolą i nieusuwalni, chyba — co się zdarzało niestety zbyt często — że bywali rozstrzeliwani przez własnych kolegów pod niezmiennym zarzutem zdrady. Ta potworna dwulicowość komunizmu stanowiła wtedy, jak wynika z tego co dotychczas powiedziałem, odzwierciedlenie szerokiej skali rozmaitych możliwości położenia komunistów w stosunku do władzy, nie uzasadniając jednak wniosku, że ta władza była poza Rosją całkowicie inna niż w Rosji. Jakkolwiek bądź, nie da się zaprzeczyć, że po opuszczeniu Rosji przejeżdżałem przez kraje, w których komuniści byli wciąż jeszcze raczej zwyczajnymi socjalistami z lewicy, aby na koniec w robotniku fabrycznym i chłopie francuskim, szwajcarskim, włoskim, odnaleźć tę szlachetność, tę szczerość, solidarność i bezstronność, które stanowią istotną siłę socjalizmu walczącego z dekadencją i zepsuciem burżuazji. Ach, jakimże nierealnym widziałem, niby zły sen, stawało się dla mnie, w zetknięciu z komunistami tego typu, wspomnienie chwil przeżytych w Moskwie! Kie-

dy mówiłem o tym na poufnym, konspiracyjnym zebraniu małego kółka w Mediolanie, pierwszym odruchem słuchaczy było niedowierzanie, po czym ktoś wystąpił z naiwnym projektem wydrukowania nalepek „Niech żyje Trocki” i rozplakatowania ich na murach fabryk mediolańskich. Po rozważeniu sprawy, ważniejsze względy wzięły górę w umysłach ludzi odpowiedzialnych i właśnie jeden z tych, którzy w dwa lata później przystąpili do trockistów, określił sytuację na piśmie w sposób jak najbardziej stanowczy. „Środowiskiem właściwym dla naszej odpowiedzialności — napisał wówczas Pietro Tresso, jeden z najdzielniejszych przywódców naszej organizacji podziemnej — są Włochy, nie Rosja. Nie możemy dopuszczać do kryzysu naszej walki przeciw faszyzmowi dlatego tylko, że Rosjanie kłócą się między sobą. Warunki walki we Włoszech i w Rosji mogłyby się wydać na pierwszy rzut oka punktem wyjścia i punktem dojścia. Nikt jednak nie może ustalić między tymi krańcowymi punktami związku nieuniknionej zależności. Toteż idziemy wciąż przed siebie, ożywieni nadzieją, że przyszła rewolucja komunistyczna we Włoszech będzie miała lepsze zakończenie”. Odpisałem mu w tym samym duchu, podziękując w zupełności jego zdanie: „Nie czuję najmniejszego poszanowania dla fatalności historycznej — napisałem. — W danym wypadku da się zastosować maksyma Lenina: prawdziwego rewolucjonistę poznaje się po jego działalności we własnym kraju”! Zanim rozstałem się z Togliattim, zgadzałem się z nim na ściśle tych samych zasadach. To prawda, że nad nami wisiła, jak miecz Damoklesa, groźba dochodzenia komitetu wykonawczego w sprawie naszej orientacji politycznej i organizacyjnej, jako represja w stosunku do Togliattiego za jego współnictwo z Bucharinem i do nas obu za skandaliczne zachowanie się na zebraniu w Moskwie. Nie można było wszakże przewidzieć, jak, kiedy i przez kogo miała być przedsięwzięta ta akcja rewizjonistyczna, w Moskwie bowiem wrzały jeszcze walki między frakcjami. Nie było naszym zadaniem, ani nawet możliwością, wywieranie wpływu na moskiewskie nieporozumienia; nie mniej było naszym obowiązkiem, a nawet — o ile pozostalibyśmy solidarni — leżało w naszej mocy, trwać przy obronie naszej organizacji i polityki przed fałszywymi zarzutami i sprzeciwiać się stanowczo nieuzasadnionym zmianom kierunku i przestawieniom. Togliatti wydawał mi się szcze-

rze zdecydowany na to, jakkolwiek w prywatnych rozmowach kładł zbyt silny nacisk na klauzulę jednomyślności, opierając się na świeżym wówczas przykładzie rozwiązania hiszpańskiej partii komunistycznej w następstwie opozycji większości przeciw żądaniom arbitralnie narzucanym przez Moskwę, po czym rekonstrukcję partii powierzono grupie młodych stanowiącej mniejszość. Potencjalna mniejszość, gotowa się zgodzić na narzucanie woli przez Moskwę w celu opanowania własnej partii, istniała także wśród komunistów włoskich, a jej przedstawicielami byli wtedy Longo i Secchia. Mówiąc otwarcie, Togliatti podporządkowywał solidarności tych towarzyszy ewentualność obrony naszych praw przeciw gwałtom Moskwy. Warto także przypomnieć, że pomimo znacznych różnic środowiskowych, partie komunistyczne innych krajów borykały się w tym okresie z takimi samymi trudnościami.

11.

Stanowisko jakie obraliśmy, zmuszeni okolicznościami, w tej krytycznej sytuacji, było jednak dwuznaczne i niejasne, a na dłuższą metę nie do wytrzymania. Nie ucierpieli na wynikłych stąd komplikacjach jedynie komuniści nie obarczeni zadaniami podstawowymi, tj. zaangażowani w działalność podziemną we Włoszech, i ci nawet nie dawali wiary informacjom dzienników o rozłamie w rosyjskim kierownictwie partyjnym, do tego stopnia, że jedna z ich tajnych gazetek nazwała kłamstwem wiadomość, podaną przez prasę faszystowską, o deportacji Trockiego do Alma Ata w Azji Środkowej. Ale położenie kierownictwa partii za granicą, zwłaszcza w osobach tych, którym powierzono funkcje międzynarodowe, nie było łatwe. Togliatti miał dość sprytu, aby odmówić przyjęcia stanowiska w projektowanej filii Kominternu na kraje europejskie, z siedzibą w Berlinie, pomimo osobistego zaproszenia przez Manuilewskiego w obecności innych członków partii; natomiast wykazał też i dość perfidii, ażeby nakłonić do przyjęcia obowiązków stałego naszego delegata człowieka, którego nienawidził i o którego był zazdrosny, Angela Tasca, wysta-

wiając go na nieuniknioną klęskę. Weszliśmy w fazę przykrych, grubiańskich stosunków, w których chytrłość zastępowała inteligencję, a problemy taktyczne wysuwały się przed zagadnienia zasadnicze. Doszło do momentu, kiedy stało się niewątpliwe, że wyprawa karna Kominternu przedsięwzięta przeciw nam z powodu znanych powiązań politycznych między Togliattim a Bucharinem, została odłożona do czasu, kiedy w Rosji przejdzie się od tępienia lewicowej opozycji do zwalczania tendencji bardziej umiarkowanych, zgodnie z przebiegłą taktyką atakowania tylko jednego przeciwnika naraz. Dzięki temu uzyskaliśmy nieoczekiwane dwuletnie moratorium.

Znane są następne akty tragedii. Po trwających rok polemikach i gwałtownych starciach Stalin przystąpił do budowania ostatniego stopnia władzy absolutnej, zarządzając deportację Trockiego do Alma Ata i złożenie z urzędów albo wysiedlenie z Moskwy pozostałych przywódców bloku lewicy, utworzonego dokoła Trockiego, Zinowiewa i Kamieniewa. Żeby zaś szczyt piramidy partyjnej pozostał pod niezaprzeczoną władzą Stalina i jego grupy, rozpoczęto bezzwłocznie walkę mającą na celu zdławienie i zniszczenie również i pozostałych jeszcze prawicowych prądów partyjnych. Na pierwszym miejscu znalazł się organ Bucharina, którego zwolenników atakowało się tam, gdzie mieli jeszcze silne oparcie, a mianowicie wśród chłopów. Wtedy to została ogłoszona przez Stalina przymusowa kolektywizacja małej i średniej własności ziemskiej, z trudem ustanowiona po r. 1923, dzięki nowej polityce gospodarczej Lenina. Sześć do siedmiu milionów chłopów wygnano wówczas z ich gospodarstw, wymordowano lub wywieziono na Sybir jako niewolniczych pracowników przymusowych.

O skali i zasięgu isticie babilońskim i o okrucieństwie metod tej najautentyczniejszej wojny wytoczonej chłopom nawet nam brakło podczas jej trwania dokładnych informacji, które jednak później przedostały się do publicznej wiadomości. Ale i tych nielicznych danych, któreśmy od razu zdobyli, byłoby dość aby wzniecić oburzenie i sprzeciw wielu z nas, gdybyśmy się nie czuli związani z góry powziętym postanowieniem nie wywoływania w organizacji podziemnej kryzysu spowodowanego kwestią nie pozostającą w bezpośrednim związku z położeniem pracowników w jej skład

wchodzących. Skutkiem tego zaraz na początku Angelo Tasca wprowadził nas w zakłopotanie, kiedy po powrocie z Moskwy zdał nam sprawę z tego, że będąc tam jako nasz przedstawiciel czuł się zmuszony do zajęcia otwarcie krytycznego stanowiska wobec nowej polityki rolnej Stalina. Ze względu na wspólną odpowiedzialność komunistów włoskich odmówiliśmy wejścia w konflikt z rosyjską partią komunistyczną i z Kominternem, ryzykując rozłam wewnętrzny, wywołany kwestią, która z natury swojej nie podlegała, w ostatniej instancji, osądowi sekcji i komórek naszej partii. Skryci za tym, bynajmniej nie fikcyjnym, parawanem naszej narodowej odpowiedzialności, na której zależało nam więcej niż na czymkolwiek, uchylaliśmy się od uciążliwego, a jednak nieuchronnego obowiązku międzynarodowego, stając się z kolei ofiarami prymitywnej sofistyki Bułgara Wasila Kolarowa, którego wydrwiliśmy dwa lata przedtem. Tym sposobem nawet ci spośród nas — a sam się do nich zaliczałem — którzy żywili przyjazne uczucia dla Angela Tasca i w gruncie rzeczy zgadzali się z nim, popełnili nie tylko błąd, lecz nikczemność potępienia go i pozostawienia w odosobnieniu. Nasze postępowanie mogłoby jeszcze znaleźć spóźnione usprawiedliwienie, gdybyśmy — w rok potem, gdy komitet wykonawczy w Moskwie przystąpił wreszcie do oskarżenia i potępienia naszej polityki poczynawszy od r. 1924, której inspiratorem był głównie Antonio Gramsci — pozostali, jak to było w naszych zasadniczych zamiarach, zjednoczeni i solidarni, gotowi do wspólnej obrony tej polityki. Tymczasem jednak demoralizacja spowodowana zbyt długo trwającą dwulicowością i niedomówieniami naszego zachowania się, nieufność wobec niektórych z nas, których pomawiano o większą skłonność do skapitulowania wobec byle żądania Moskwy, jak również przykład przemian, zachodzących w innych partiach, doprowadziły do przeciwnego skutku. Ci nieliczni nawet, którzy w zaskoczeniu podnieśli protest i zostali usunięci z partii, działali w warunkach nieprzewidzianych, niezmiernie zawikłanych i przykrych, bez możliwości wypowiedzenia się na temat zasadniczego zagadnienia i, co ważniejsze, nie zdając sobie sprawy z pełnego znaczenia własnego postępowania i jego następstw. Jak mogliśmy się łudzić, że w łonie totalitarnej organizacji będzie dopuszczalne zbadanie też kontrowersyjnych gruntownie i z dobrą wiarą? Nasze zdziwienie było

dowodem, do jakiego stopnia byliśmy jeszcze nieświadomi prawdziwej natury ewolucji, jaką przeżył rosyjski i międzynarodowy komunizm w ciągu lat ostatnich i jak niedostateczne wyobrażenie wyrobiliśmy sobie o splocie sprzeczności, w który zostaliśmy wplątani.

Prawda leży w tym, że z partii komunistycznej nie można się zwolnić tak jak się ustępuje ze stronnictwa liberalnego, przede wszystkim dlatego, że związek obywatela z jego partią pozostaje w prostym stosunku do sumy ofiar, jaką go kosztował. Ponadto, jak już było tutaj stwierdzone i rozpatrywane, partia komunistyczna nie jest jedynie, ani nawet głównie, organizmem politycznym, ale szkołą, kościołem, koszarami, rodziną. Jest to instytucja totalitarna w najpełniejszym i najprawdziwszym znaczeniu, która wchłania całkowicie każdego, kto się jej podda. Wszelki organizm totalitarny, wszelki ustrój oparty na przymusowej jednomyślności, wymaga dużego wkładu kłamstwa, dwulicowości i nieszczerości. Toteż przekonany komunista, który zdołał cudem uchronić wrodzony zmysł krytyczny i usiłuje nadal stosować go w dobrej wierze w sądzeniu działalności partii, ufając że w ten sposób najlepiej jej służy, naraża się na dotkliwe i pełne sprzeczności zarzuty niekonformizmu i musi przeżyć ciężką udrękę wewnętrzną zanim dokona bądź definitywnego poddania się, bądź odstępstwa, które obdarzy go wolnością. Niezmiernie powolne tempo, w jakim postępuje proces zrozumienia przezeń wagi tego odstępstwa jest rewelacyjne, a nigdy dotąd dostatecznie nie rozważone. Dopóki obraca się w kręgu psychologii władzy z którą wszedł w konflikt, może się łudzić, że jego własna niezgoda dotyczy ograniczonej sfery jakiegoś odosobnionego błędu popełnionego przez partię, i dąży do przedyskutowania go w imię wspólności zasad, powołując się na ich podstawową rzetelność. Później jednak, po wyklęciu i wydaleniu, gdy zwolni się z więzów dyscypliny partyjnej i znajdzie poza obrębem społeczności wiernych, dojdzie do zdania sobie sprawy — o ile zdobędzie się na odwagę cofnięcia się od skutków do przyczyn i spróbuje sobie wyjaśnić, jaki był ostateczny powód jego uchylenia się od kapitulacji — z faktu, że jego sprzeciw był w rzeczywistości podyktowany motywami nieporównanie bardziej radykalnymi. Wówczas dogmaty, dla których żywił część jeszcze do niedawna, ukazą mu się nagle w zupełnie innym świetle.

(Dodam, że jeżeli nie było to losem trockizmu, to dlatego iż nie był on odstępstwem, ale najzupełniej ortodoksyjną odnogą leninizmu).

12.

Akcja represji skierowana przeciw umiarkowanym prądom komunizmu rosyjskiego objęła jednocześnie wszystkie sekcje Kominternu, na skutek nakazu dokonania w ich polityce zupełnego zwrotu na lewo, umotywowanego rzekomym światowym kryzysem rewolucji, będącym już jakoby w toku. Celem nowej taktyki, zdaniem podżegaczy do tych zmian, było przede wszystkim odrzucenie złudzeń demokratycznych, które działały osłabiająco na umysły robotników: demokracja parlamentarna została wobec tego okrzyczana jako największa przeszkoda na drodze urzeczywistnienia rewolucji proletariatu, a zniesienie jej uznane za postęp; socjal-demokrację przechrzczono na socjal-faszyzm, innymi słowy zwyczajną frakcję czy też odmianę faszyzmu, a wszelkie układy z nią w przyszłości uległy surowemu potępieniu. Co za tym idzie, łączność syndykalna z reformistami miała być, w nielicznych krajach gdzie się jeszcze utrzymała, jak najszybciej zerwana, a na jej miejsce należało ustanowić czerwone syndykaty pod kierownictwem komunistów. Najważniejszym rezultatem tej szaleńczej nowej taktyki — rezultatem o znaczeniu historycznym, streszczającym w sobie sumę wszystkich następstw — było, w kilka lat później, dopomożenie Hitlerowi w dojściu do władzy. Toteż nastanie narodowego socjalizmu zostało konsekwentnie określone przez urzędowy organ Kominternu, „Korespondencję Międzynarodową”, jako krok naprzód w rewolucji proletariatu, ponieważ dokonał on oczyszczenia horyzontu politycznego Niemiec z wszelkich złudzeń demokratycznych. W przekładzie na włoski język polityczny, ów zwrot, który i nam został tak stanowczo nakazany przez Moskwę, był radykalnym zaprzeczeniem kierunku działalności komunistów we Włoszech w ciągu ostatnich lat, co zresztą wyraźnie potwierdzili i czego żądali emisariusze Kominternu, specjalnie w tym celu wydelegowani. Większość kierownictwa włos-

kiej partii komunistycznej uległa gwałtowi i zgodziła się na potępienie tez Gramsci'ego dotyczących Południa kraju i sytuacji u nas. Dziś można postawić pytanie, czy było w ogóle możliwe przeciwstawienie tym niesprawiedliwym żądaniom wspólnego oporu całego komunizmu włoskiego, w tym znaczeniu jak to było wcześniej zamierzone. Lecz jest to pytanie najzupełniej oderwane: nieudana jednomyślność kierownictwa, którą najbardziej odpowiedzialne czynniki narzucały jako *conditio sine qua non* przeprowadzenia tej próby, zwolniła komunizm włoski z kłopotu zaryzykowania jej.

Z powodu zdrowia nie brałem udziału w działaniach partii od przeszło roku. Byłem informowany o rozwoju kryzysu wewnętrznego, dzięki listom prywatnym i odwiedzinom znajomych. Ale nawet ci, którzy uczestniczyli we wszystkich zebraniach, nie byli mniej ode mnie zaskoczeni jego rozwiązaniem. Trzech najbardziej wartościowych członków naszej organizacji we Włoszech, Alfonso Leonetti, stojący na czele nielegalnej prasy, Paolo Ravazzoli, przywódca syndykalizmu i Pietro Tresso, szef biura organizacji, wystąpili z krytyką żądań Kominternu, wykazując niedorzeczność ich w zastosowaniu do stosunków włoskich. Za tę śmiałość spotkało ich natychmiastowe usunięcie z komitetu centralnego, następnie zaś z szeregów partii. Co więcej, wydano ich na łup zawziętości Moskwy, czyniąc ich — na zasadzie bezsensownego umotywowania — kozłami ofiarnymi w sprawie minionych stosunków Togliattiego z Bucharinem. Niestety, ci trzech byli członkowie partii, pod wpływem głębokiej urazy wywołanej tak niesprawiedliwym i nieoczekiwanym dla ich traktowaniem, przeszli wkrótce — stosując zresztą przyjętą logikę walki międzyfrakcyjnej — do słów i czynów, które zdawały się uzasadniać, po fakcie, zarządzenia jakich padli ofiarą.

Pewnego dnia doszło do mego spotkania z Togliattim. Było to na wsi, w miejscowości niezbyt oddalonej od tej, gdzie odbywałem kurację. Togliatti wyłożył mi obszernie, jasno i rzetelnie, jakie przyczyny skłoniły go do obrania linii postępowania, na którą się zdecydował po dojrzałym namyśle. W zwięzłym streszczeniu, to co mi powiedział przedstawiało się jak następuje: obecny stan Kominternu nie jest ani zadowalający ani sympatyczny, ale zmiana jego

nie zależy od naszej dobrej woli. Trzeba się liczyć z obiektywnymi warunkami historycznymi. Oblicze rewolucji proletariatu nie jest dowolne, a jeżeli nie odpowiada ono naszym upodobaniom, tym gorzej dla nas. Skąd inąd, jaka jest alternatywa? Jaki był koniec tych komunistów, którzy zerwali ze swoją partią? W jak rozpaczliwych warunkach znalazła się socjal-demokracja? Przyznaję, że moje usiłowanie zbijania tych argumentów chybiało celu, dlatego przede wszystkim, że rozumowanie Togliattiego było wyłącznie polityczne, a moja wewnętrzna rozterka, wynikła z ostatnich doświadczeń, sięgała poza granice polityki. Czym były „nieubłagane konieczności historyczne”, przed którymi musieliśmy się ugiąć, jeśli nie nową postacią nieludzkiej rzeczywistości, przeciw której zbuntowaliśmy się, stając się socjalistami? Czyż wolno nam, pod pretekstem zapewnienia powodzenia toczącej się walce, zapomnieć o powodach naszego przyłączenia się do tej walki? Czułem się wtedy, jak gdybym dostał potężny cios maczugą po głowie i choć w dalszym ciągu trzymałem się na nogach, chodziłem, mówiłem i gestykulowałem, nie zdawałem sobie w całej pełni sprawy z tego co mnie spotkało.

Oświadczyłem się w rozmowie z Togliattim z gotowością pozostania w partii, o ile by mnie zwolniono z wszelkiej działalności politycznej. Mógłbym, z chwilą powrotu do zdrowia, przyjąć co najwyżej jakie podrzędne obowiązki pomocnicze, może wydawnicze. Togliatti wyraził zgodę. Powody mego zakłopotania były nader skomplikowane, politycznej i osobistej natury. Była wtedy w toku w prasie zagranicznej polemika między partią a trzema wydalonymi przez nią członkami. Polemika ta przybrała formy niesłychanej ostrości i wulgarności. Ludzie, którzy krótko przedtem byli przyjaciółmi, teraz wyzywali się wzajemnie od zdrajców, nikczemników, kłamców, oportunistów, hipokrytów, padały także takie słowa jak złodzieje, szpiedzy, sprzedawczycy. Jak oddziaływała na mnie ta literatura, przekonałem się niejako wtórnie, drogą refleksu. Pewien przemysłowiec, złożony chorobą w tej samej co ja lecznicy, przyznał mi się pewnego razu do tak krańcowego zmęczenia życiem, że popełniłby samobójstwo, gdyby nie wstrzymywała go odraza do tego, co wypisywano by w prasie na ten temat. I ja także wstrząsałem się na samą myśl dokonania czynu może potrzebnego, może nieuniknionego, lecz który by skło-

nił bliskich mi ludzi do obsypania mnie obelgami i oszczerstwami, do napadania na mnie, mnie zaś z kolei do odpowiadania im w tym samym tonie. Ach, gdyby to można było zniknąć po cichu! Był też i ważniejszy powód, o którym niełatwo mi mówić. Od dwóch lat (tj. od kwietnia 1928 r.) mój młodszy brat, ostatni jaki mi pozostał z rodzeństwa, był w więzieniu we Włoszech, oskarżony o należenie do nielegalnej partii komunistycznej. Po aresztowaniu poddano go okrutnym torturom, które pozostawiły mu nieuleczalne, ciężkie uszkodzenia wewnętrzne; w więzieniu w Procida doczekał się, w r. 1932, śmierci, która wyzwoliła go z męczarni. Bolesną tragedię jego losu podkreśla fakt, że brat mój aż do chwili aresztowania nie był wcale członkiem partii komunistycznej, nie zgłaszał nigdy zamiaru przystąpienia do niej, nigdy więc nie był przyjęty i nigdy nie uczestniczył w zebraniach, nie brał udziału w jej akcji, nie znał nawet jej statutu ani programu. Był to chłopak wychowany w uczuciach katolickich, z przekonani antyfaszysty w ogólnym tego słowa znaczeniu. Interesował się sportem znacznie żywiej niż polityką. Sportowi też należy przypisać, że do jego wrodzonej dumy przyłączyło się poczucie honoru obowiązujące w walce. Dlaczego zeznał, że jest komunistą? Dlaczego potwierdził to zeznanie w sądzie, przed Trybunałem Specjalnym, który na tej zasadzie skazał go na dwanaście lat więzienia? „Starałem się tak zachować — napisał mi — jak wyobrażam sobie, że ty byś się zachował na moim miejscu”.

Niełatwo mi zatem było wystąpić z partii, skoro moja przynależność do niej posłużyła mojemu bratu za uzasadnienie dobrowolnego poświęcenia.

Ale przynależność bierna, bez odwoływania niczego i bez potępienia „zdrajców” usuniętych z partii, nie wchodziła w zwyczaj Kominternu. Jeden z delegatów rosyjskich zgłosił w tym przedmiocie do partii włoskiej, podczas zebrania odbywającego się w Moskwie, krytykę, której treść przekazał mi potem Togliatti. Przybył on znowu do Szwajcarii w celu zobaczenia się ze mną, w towarzystwie trzeciej osoby. Spotkanie odbyło się tym razem w siedzibie Czerwonego Pogotowia w Zurychu. Jestem zmuszony do sprecyzowania pewnych szczegółów, które podano do wiadomości w karykaturalnym zniekształceniu.

— Niezbędne jest — rzekł Togliatti — ażebyś wystosował oświadczenie potępiające trzech wydalonych członków i uznające bezwzględnie dyscyplinę Kominternu.

— Wiesz dobrze — odpowiedziałem — że to się sprzeciwia moim przekonaniom.

— Wiem — potwierdził — ale podporządkowanie się wymaganiom partii jest aktem hołdu wobec niej.

Chcąc widocznie oszczędzić mi uczucia odrazy w dokonaniu tej formalności, zasiadł sam do maszyny i wypisawszy w kilku wierszach uświęcone w takich razach formułki, podpisał je moim partyjnym pseudonimem. Mogło się wydawać i mnie i jemu, że dokonanie tego obrzędu równało się wychyleniu do dna kielicha obrzydliwego środka przeczyszczającego. Ale tak nie było.

Pozostawałem wciąż w dość serdecznych stosunkach korespondencyjnych z jednym z wydalonych komunistów, Pietro Tresso. Nie ukrywałem przed nim obaw, jakie wzbudzała we mnie obrona przezeń, wraz z dwoma towarzyszami, droga postępowania, mianowicie przyłączenie się do międzynarodowej frakcji trockizmu. Wyznałem mu także otwarcie, jakie motywy skłoniły mnie do opowiedzenia się za milczącym pozostaniem w partii na jej marginesie, nie aprobując ani polityki Trockiego, ani nowych dyrektyw narzuconych przez Moskwę. Tresso dał do przeczytania te moje osobiste listy jednemu ze swych przyjaciół trockistów, w celach czysto informacyjnych; ten zaś ogłosił je drukiem z całą bezceremonialnością, w piśmie, które wydawał w Paryżu, bez wiedzy adresata i autora listów, opuszczając w nich to tylko, co miało charakter ściśle osobisty i poufny oraz wszelkie aluzje do potępienia trockizmu. Skutek był przewidziany. W oczach partii moje listy „dowodziły” podwójnej gry, potajemnego należenia do organizacji trockistów i nieszczerości oświadczenia „wystosowanego” przeze mnie do Togliattiego. Zawiadomiono mnie niezwłocznie, że nowa delegacja, tym razem pod przewodnictwem Ruggiera Grieco, uda się do Szwajcarii w celu przesłuchania mnie. „Zažadają od ciebie — napisano mi — nowego oświadczenia, bardziej stanowczego i bardziej zobowiązującego. Zažadają czynnego przystąpienia do walki z trockistami. Wreszcie zažadają powrotu do aparatu kierowniczego partii i powierzą odpowiedzialne zadania”. Tak doszliśmy do lata 1931 r.

Mogłem się bronić. Mogłem udowodnić swą dobrą wiarę. Mogłem wykazać, że nie należę do frakcji trockistów. Mogłem dowieść, że moją niezgodę na dyrektywy z Moskwy podzielali ci sami, którym zlecono przeprowadzić przesłuchanie mnie. Mogłem opowiedzieć, jak się odbyła scena „wystosowania” przeze mnie oświadczenia do Togliattiego. Mogłem ich zapewnić o swojej doskonałej obojętności dla stanowisk i hierarchii. Mogłem, ale nie chciałem. W jednym mgnieniu objawiła mi się z oślepiającą jasnością czczość tej całej przebiegłości, tej taktyki, oczekiwania, kompromisów. Po miesiącu, po roku zaczęłoby się znowu to samo. Nie powinienem był dopuścić, aby wymknęła mi się ta nowa, opatrnościowa okazja wybrania drogi do wolności. Dalsze spory były bezsensowne. To był koniec. Bogu dzięki — koniec.

13.

Jak wiadomo, statut partii komunistycznych nie uznaje dymisji, lecz jedynie wydalenie. I tak samo jak wyroki sądów rosyjskich w procesach politycznych, słowa komunikatów ogłaszających wydalenie mają znaczenie czysto polemiczne. Takie terminy jak zdrajca, renegat, sprzedawczyk, są w nich zwykłymi synonimami słowa oponent.

W porównaniu z tragedią motywacji niezmiennie znieślawiającej, przyjętej w Rosji i poza Rosją, gdy chodzi o „likwidację” przez rozstrzelanie, deportację albo zwykłe wysiedlenie setek tysięcy komunistów, oponentów lub odstępców (ponieważ obyczaj partyjny nie dopuszcza w żadnym razie różnicy zdań w polityce) formułka wymyślona na mój użytek może się wydać jak najłaskawszą. W pewnym stopniu sam ją podpowiedziałem. W delegacji oficjalnej przed którą stanąłem znajdował się, między innymi, Giuseppe di Vittorio, który wdał się w wyszczególnianie — nader dobroduszenie i w przyjaznym tonie — najróżniejszych kłopotów, w jakich się znajduję po wystąpieniu z partii.

— Do Włoch wrócić nie możesz, dopóki u władzy jest faszyzm — powiedział. — Za granicą nie możesz mieszkać bez papierów. Nie masz środków utrzymania. Twój

brat jest w więzieniu z powodu należenia do partii. Wszyscy twoi przyjaciele do niej należą i jeżeli z niej wystąpisz, zerwą z tobą. Nie istnieje prócz nas inna silna opozycja w walce z faszyzmem. Więc jeżeli ci zostało choć trochę zdrowego rozsądku, jeżeli jesteś jeszcze zdolny do zastanawiania się i podejmowania decyzji, jak człowiek normalny...

W tym miejscu przerwałem mu.

— Słuchaj — rzekłem. — Nie wiem, czy potrafisz mnie zrozumieć, ale w tym sensie, w jakim ty to pojmujesz, nie byłem nigdy i może nigdy nie będę człowiekiem politycznie normalnym.

To powiedziawszy opuściłem zebranie, oświadczając jeszcze na ostatek, że nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia. W wyroku wydalenia mnie z partii, który nastąpił, po rekapitulacji *ad usum delphini* poprzednich wydarzeń, tutaj przeze mnie zreferowanych, było napisane: „...zważywszy, że sam uważa siebie za człowieka politycznie anormalnego, za obiekt klinicznego badania...” itd.

Był to dokument znieważający i zniesławiający, w którego treść, jak się samo przez się rozumie, nie wierzyli sami jego autorzy, gdyby bowiem dawali mu wiarę, nie byłiby usiłowali namawiać mnie raz jeszcze do pozostania w partii. Stanowił on broń polemiczną, przeznaczoną do odparcia ewentualnej akcji rozkładowej podjętej przeze mnie wewnątrz partii. Ponieważ do takiej akcji nie doszło i niektórzy rozważali możliwość mojego powrotu do partii, a przynajmniej mojej współpracy, w dziedzinie piśmiennictwa, z jej literatami i artystami, ci sami ludzie, którzy zredagowali zniesławiający mnie wyrok, uwzględnili inną jego wersję, nieurzędową, która przedstawiała moje rozstanie się z partią w łaskawszej formie, jako przykre następstwo załamania się i pesymizmu w mojej walce z faszyzmem. Obydwie wersje (ta urzędowa o renegacie politycznym i ta nieurzędowa o pesymizmie) znajdowały później kolejne zastosowanie, zależnie od tego, czy moje pisma i przemówienia spodobaly się komunistom, czy ich podrażniły. Żadna z dwóch wersji, jak wynika z niniejszej relacji, nie jest prawdziwa. Żadna nie przydaje się w najmniejszym stopniu do zrozumienia tajemnicy kryzysu, który mnie wykluczył z partii. Ja sam zdałem sobie z niej sprawę powoli, stopniowo i z

trudem w ciągu lat następnych, a wyznaję bez wahania, że w dalszym ciągu zastanawiam się nad nią i usiłuję lepiej zrozumieć. Jeżeli pisałem książki to, jak już zaznaczyłem, żeby samemu dojść do zrozumienia i innym w tym pomóc. Wcale nie jestem pewny czy skończyłem z moim zastanawianiem się. Prawda tak się przedstawia: wystąpienie z partii komunistycznej jest najsmutniejszą dla mnie datą, jest to data ciężkiej żałoby, żałoby po mojej młodości. A ja pochodzę ze stron, gdzie nosi się żałobę bardzo długo, dłużej niż gdziekolwiek indziej. Nie można z łatwością uwolnić się od tak głębokich przeżyć, jak doświadczenia podziemnej partii komunistycznej. Piętno jakie pozostawiają te przeżycia nadaje charakter na zawsze. Spójrzcie na eks-komunistów — jakże łatwo są rozpoznawalni. Należą do odrębnej kategorii, jak byli księża i byli oficerowie zawodowi. Liczba byłych komunistów dzisiaj, to legion. „Ostatnia walka — powiedziałem żartem do Togliattiego — rozgorzeje między komunistami a eks-komunistami”. Jednakowoż, o ile o mnie chodzi, po opuszczeniu partii unikałem starannie wejścia do którejkolwiek z licznych grup i frakcji byłych komunistów. Bynajmniej tego nie żałuję, znając dobrze tę jakąś fatalność, która prześladowa takie grupy i frakcje, zmieniając je w sekty na malutką skalę, ze wszystkimi wadami oficjalnego komunizmu, jak fanatyzm, centralizm, abstrakcjonizm, natomiast bez zalet i korzyści, jakie komunizm czerpie z obecności licznych przedstawicieli proletariatu. Logika opozycji za wszelką cenę odwiodła wielu z byłych komunistów bardzo daleko od ich pozycji wyjściowych, przywodząc nawet niektórych do faszyzmu. Mnie zaś szczerze przemyślenie przebytych doświadczeń, które tak przecierpiałem, doprowadziło do głębszego ujęcia przyczyn rozłamu, oraz stwierdzenia, że sięgają one daleko poza fakty czysto przypadkowe, które je bezpośrednio spowodowały.

14.

Moja wiara w socjalizm (a śmiem twierdzić, że zaświadcza o niej całe moje późniejsze postępowanie) utrzymała się zawsze równie żywa. W swej najgłębszej istocie

powróciła do tego, czym była na samym początku, kiedy zbuntowałem się przeciwko staremu porządkowi społecznemu: to znaczy uznałem, że jest zaprzeczeniem tradycji i przeznaczenia, choćby nawet ukryły się one pod pseudonimem historii, rozszerzeniem wymagań etyki poza ciasny zakres jednostki i rodziny na dziedzinę wszelkiej działalności ludzkiej, afirmacją wyższości istoty ludzkiej nad mechanizmem ekonomicznym i socjalnym, które ją przytłaczają. Z biegiem lat do tych założeń dołączyło się jeszcze uczucie poszanowania wszystkiego, co w naturze ludzkiej nieustannie dąży do rozwoju, do przejścia samego siebie, a co tkwi u korzeni jego nienasyconego niepokoju. Nie sądzę jednak, abym głosił zasady jakiegoś mego własnego socjalizmu. „Szalone prawdy”, które tu wspominam, są dawniejsze od marksizmu. W drugiej połowie zeszłego wieku te prawdy objawiły się w ruchach robotniczych, wywołanych przez kapitalizm przemysłowy, i po dziś dzień pozostają najtrwalszym źródłem ich natchnienia. Każdy szczerzy socjalista nosi je w sobie, często nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Niejednokrotnie już wyrażałem swoje zdanie o stosunku — bynajmniej nie sztywnym ani niewzruszonym — między ruchem socjalistycznym a teorią socjalizmu. Jest to ten sam stosunek, który zachodzi między szkołami filozoficznymi a wielkimi przemianami dziejowymi. Teorie mogą upadać albo być zwalczane wraz z rozwojem nauki, ale przemiany toczą się dalej. Byłoby jednak błędem, gdybym przez wzgląd na niezgodę między teoretykami a empirykami organizacji robotniczej, chciał zaliczyć siebie do tych ostatnich. Nie pojmuję nierozrwalnego związania polityki socjalistycznej z jakąkolwiek określoną teorią, ale związanie jej z wiarą — owszem. Im bardziej „teorie” socjalistyczne usiłują stać się „naukowymi”, tym szybciej przemijają, ale „wartości” socjalizmu są niezniszczalne. Rozróżnienie między teorią a wartością nie jest jeszcze dość jasne w umysłach rozważających te problemy, a jednak jest ono zasadnicze. Na zespoleniu teorii można budować szkołę i propagandę — na zespoleniu wartości zakłada się kulturę, cywilizację i nowe formy współżycia ludzi.

WYBÓR TOWARZYSZY

1.

W toku ostatnich czterdziestu lat nastąpiło bankructwo kilku zasadniczych mitów polityczno-społecznych, przekazanych nam przez ubiegłe stulecie. Na skutek tego pewna kategoria ludzi, dla których te mity stanowiły busołę, znalazła się w duchowej rozterce, która trwa dotychczas. Sytuacja ta — wynikła bezpośrednio z doświadczeń, walk i przemian, jakie nastąpiły w życiu zbiorowym, oraz ze zniknięcia przodujących umysłów, które przedtem wielu z nas prowadziły do akcji — wysuwa nowe problemy w związku z postępowaniem dzisiejszego człowieka, oraz z najważniejszym zagadnieniem: sensu naszego istnienia. Jednym słowem, nawet w swych marginalnych objawach, nie jest to sprawa igraszek lub wybryków czysto literackich. Każda epoka obfituje w ludzi, skąd inąd godnych szacunku, którzy interpretują ducha czasu po swojemu, sposobem strzyżenia włosów, wiązania krawata, wymawiania litery „r”. Dla innych jednak, mniej szczęśliwych, wydarzenia spowodowane przełomami miewają często poważniejsze następstwa. Żeby nie tracić czasu, zaznę od nich, mimo obawy że mogą być poświadczony o brak smaku.

W ostatnich dziesiątkach lat ilość pisarzy różnych narodowości którzy odebrali sobie życie, osiągnęła cyfrę bezprzykładną w stosunku do wcześniejszego okresu. Mam

wrażenie, że większość tych tragicznych objawów posiada wspólnie podłoże, pomimo dużych różnic zewnętrznych: podłożem tym jest to, co Nietzsche nazwał nowoczesnym nihilizmem. Czy losy autorów są mniej ważne, niż losy ich książek? Nie wydaje mi się. Ilekroć zdarza mi się zastanawiać nad najbardziej wyrazistym ujęciem istoty niepokoju, obrzydzenia i nudy, cechujących naszą epokę, myśl moja nie kieruje się do książek Heideggera, Jaspersa lub Sartre'a, ale raczej do samobójstw takich pisarzy jak Jesienin, Majakowski, Ernst Toller, Kurt Tucholsky, Stefan Zweig, Klaus Mann, Drieu La Rochelle, F. O. Matthiessen, Cesare Pavese i tylu innych, mniej znanych. Jakąż gromadą przerażających cieni otaczają nas te wszystkie nazwiska. Niezależnie od okoliczności zewnętrznych, przytaczanych w swoim czasie dla wytłumaczenia desperackiego końca tylu utalentowanych ludzi — prześladowania, wygnanie, osamotnienie, bieda, choroba, zboczenia — wystarczy poznać, to co sami wyznali przed śmiercią przyjaciółom, ustnie lub na piśmie, aby w ostatecznym rezultacie w ich słowach znaleźć identyczne wyznanie trwogi i rozpaczony wobec męczarni i bezcelowości życia. Wystrzegajmy się więc powierzchownych wyjaśnień. Wszelka próba oskarżenia o spowodowanie tych wydarzeń określonego ustroju politycznego jest bez wątpienia błędem, ponieważ miały one miejsce w rozmaitych ustrojach, w Rosji, w Ameryce, w Europie. Z jeszcze mniejszą słusnością obwiniałoby się zgubny wpływ pewnej pesymistycznej doktryny, skoro Majakowski opiewał zwycięską rewolucję, a inni, poczynawszy od Zweiga, skończywszy na Pavese, tkwili głęboko korzeniami w tradycjach humanistycznych i religijnych swego środowiska. (Byłoby może wskazane odwrócić diagnozę, aby stwierdzić zgodnie ze znaną zasadą psychologiczną, że niektórzy wśród tych nieszczęsnych padli prawdopodobnie ofiarą udręki, dla której nie znaleźli wyrazu we własnej twórczości. Zahamowanie jest bardziej zabójcze niż szczerość. Ale początki dekadencji naszych czasów sięgają dalej wstecz, poza daty tragicznych wydarzeń, które tu przypominałem. Ten nastrój ogarnął tylko jednostki przerafinowane, o krańcowej wrażliwości, choć należące do rozmaitych warstw społecznych i uprawiające różnorodne zawody, wywodząc się także i z mas ludowych.

Pierwszy Nietzsche znalazł definicję tej dekadencji. Nazywał ją, jak już wspominałem, nihilizmem, nadając temu

słowu trwałe znaczenie, odmienne od tego, które miał na myśli Turgieniew w swej sławnej powieści. Wojny i rewolucje, jakie później nastąpiły, przyniosły uzasadnienie przepowiedni Nietzschego, ujawniając to, co za jego czasów mogło jeszcze pozostawać w ukryciu. Nihilizm, w swym najszerszym znanym aspekcie, stawia znak równania między dobrem, sprawiedliwością i prawdą, a własnym interesem. Nihilizm oznacza rozpowszechnione przekonanie wewnętrzne, że pod wszystkim w co się wierzy i co się głosi nie kryje się w zasadzie nic rzeczywistego, że zatem w ostateczności jedynie ważne jest powodzenie. Nihilizmem jest poświęcenie się dla sprawy w którą się nie wierzy, udając jedynie wiarę. Nihilizmem jest wielbienie odwagi i bohaterstwa, niezależnie od celu jakiemu służą, stawiając tym sposobem na równi zbira i męczennika. I tak dalej.

Jakim sposobem doszliśmy do tego?

Wiemy, że przypisuje się zazwyczaj pierwszej wojnie światowej winę tej klęski, której miała być przyczyną i początkiem; ale możemy postawić sobie pytanie, czy doszłoby do wybuchu wojny, gdyby świat cywilizowany nie znajdował się już wtedy w stanie kryzysu. Wielka wojna ujawniła po prostu słabość mitów postępowych, na których się opierała cywilizacja kapitalistyczna. Przeszarżałe instytucje chwilały się w następstwie ciężkich przeżyć jak przegniłe rusztowania, nawet w krajach zwycięskich. Ich sceptycyzm i zepsucie przedostawały się aż do podwalin społecznych, podważając tradycyjne wartości moralne i religijne, niebacznie używane dla podparcia zagrożonych interesów.

Zastanawiam się, czy naprawdę trzeba przypominać, że przywrócenie rządów autorytatywnych, dokonane w tych latach najpierw we Włoszech i na Bałkanach, a potem w Niemczech i gdzie indziej, było lekarstwem, które pogorszyło chorobę. Podobno — tak mnie zapewniają, choć wydaje mi się to nie do wiary — znów jednak przypominać o tym należy. Jakiż to upokarzający obowiązek ze względu na szacunek dla inteligencji ludzi współczesnych. Jak mogli się łudzić konserwatyści co do możliwości pokonania nihilizmu przez tyranię polityczną w jakiegokolwiek bądź postaci? Wręcz przeciwnie: faszyzm pod różnymi formami oznaczał powołanie nihilizmu do władzy. Dyktatura bowiem umocniła dawne sposoby wywierania przymusu i stworzyła

nowe, nie tworząc wszakże — bo tego uczynić nie mogła — nowego ładu moralnego; wręcz przeciwnie, klimat strachu i służalczości jaki był jej dziełem, spowodował krańcowe wzmocnienie istniejącej już, ogólnej dekadencji moralnej. Krótko mówiąc, faszyzm łudził się możliwością wyleczenia Włochów ze sceptycyzmu za pomocą ortopedii. W epoce kiedy wśród młodych, przypominacie sobie, wychodziło już z mody noszenie kapelusza, faszyzm zapragnął narzucić im ni mniej ni więcej jak hełm Scypiona. W ten sposób zapoczątkowano publiczną ostentację bohaterских uczuć nie sięgających korzeniami w głąb sumień, czego następstwem było hałaśliwe i poparte gestykulacją wygłaszanie namiętnych poglądów, w rzeczy samej nieokreślonych, udawanych albo powierzchownych. To prawda, że te tragicomiczne cechy faszyzmu ułatwiły później jego upadek, lecz to one stworzyły także złowróżbne złudzenia wyleczenia zarazy moralnej nihilizmu, gdy właśnie załázky jego kiełkowały tymczasem w sumieniach. Dlatego, pod wielu względami, nie ruszyliśmy się dotychczas z miejsca. Niektóre rzeczy niewątpliwie się zmieniły, a najcenniejszą ze wszystkich zmian jest bezwarunkowo swoboda publicznego wypowiedzania się na temat sytuacji moralnej, bez potrzeby stosowania się do nakazów kłamliwego optymizmu. Ale poza tym?

Ustroje mijają, deprawacja zostaje. Największa trudność w tym, że nihilizm nie jest ideologią, nie może stanowić przedmiotu ani prawodawstwa ani nauczania w szkołach, nie polega na odmiennym sposobie kłaniania się znajomym, ani na obowiązku używania w rozmowie pewnej formy zaimkowej zamiast innej. Jest natomiast stanem duchowym, uznanym za chorobliwy przez tego tylko, kto mu nie uległ albo zdołał się z niego wyleczyć, lecz z którego istnienia ludzie w większości nie zdają sobie sprawy, przekonani że jest to stan przyrodzony. „Zawsze tak było” — mówią — „i zawsze tak będzie”.

Ujęcie tej postawy człowieka współczesnego przez literaturę postnietzscheańską i egzystencjalistyczną jest ogólnie znane. Sprowadza się ono do następujących danych: wszelkie więzy między istnieniem a treścią istoty ludzkiej zerwane; istnienie pozbawione znaczenia sięgającego poza jego granice; człowieczeństwo ogranicza się po prostu do vitalności. Zanim stwierdzę ze swego punktu widzenia tymcza-

sowość i przestarzałość tego ujęcia, nie chcę się wyrzec wyrażenia pewnego rodzaju uznania. Powody? Nie można, moim zdaniem, nie podziwiać szczerości, zwłaszcza gdy wymaga ona pewnej odwagi, bo bez szczerości nie istnieje ani moralność, ani sztuka. Następnie, jako pisarz wyznaję otwarcie, że w dzisiejszym stanie rzeczy nie widzę innego sposobu, niż wolność w dziedzinie sztuki, stawiania przed sumieniami ludzkimi problemów uchodzących ogólnej uwadze, ukazujących ludziom obraz ich własnego oblicza dokładniejszy i wierniejszy od tego, jaki co dzień oglądają w lustrze. Co powiedziawszy, pośpieszam dodać, że literatura nie może znaleźć stałego schronienia w nihilizmie. Jak wyjść z trudności? Dostrzegam tylko jedną drogę na wolność: odważne zbadanie sytuacji na całym jej obszarze. Byłoby to wprowadzić przedsięwzięcie nie pozbawione ryzyka, lecz skąd inąd obszar nie jest bynajmniej bezmierny i ten kto na niego wkroczy ze szczerym sercem i z absolutną lojalnością intelektualną, powinien prędzej czy później dotrzeć do najdalszych jego granic. Wówczas albo stanie nagle wobec pokusy samobójstwa, otwierającej się przed nim jak otchłań, albo dojdzie do ponownego odkrycia w człowieczeństwie pewnych wartości, zasługujących na wzięcie pod uwagę. Nie jest to, zaznaczam, abstrakcyjna hipoteza. Są tacy, którzy przez to przeszli, a nie są to byle jakie przykłady. Przytoczę niektóre z nich.

Wszyscy znają na pewno szlaki, jakie przeszła twórczość literacka Ernsta Jüngera i Alberta Camusa. Pisarz niemiecki doszedł do granicy nihilizmu w swojej słynnej wypowiedzi „Der Arbeiter”, gdzie obwieścił jako protagonistę nowoczesnej palingenezy nowy typ standardowego proletariusza, pozbawionego osobowości, mózgu, serca i duszy, prawdziwego żywego robota. Największym osiągnięciem wolności byłoby dla niego, według niemieckiego autora, mechaniczne branie udziału w łańcuchu wojen domowych i imperialistycznych, w które jużemy weszli, a które opadną przyszele stulecia. „Poświęcić się w imię wiary” — pisze Ernst Jünger — „znaczy dojść do szczytu swej osobowości, bez względu na to, czy ta wiara opiera się na prawdzie, czy na błędzie. Ludzie, będący tylko zlepkiem strachu nie do opanowania przez dyscyplinę ani miłość ojczyzny, zaświadczać, podobnie jak męczennicy, przez sam fakt rzucenia się w wir walki, o istnieniu rzeczywistości ponad-

ludzkiej, która jest w nich i poza nimi". Przedstawione przez niego bohaterskie czyny „robotów” proletariackich byłyby wobec tego tym wznioślejsze, im bardziej dokonywane poza przyrodzoną strefą człowieczeństwa, upodabniając się do działania najbardziej udoskonalonego motoru. Autor dochodzi tu do granicy, której nie podobna już było przekroczyć. Trzeba jednak przypomnieć na korzyść Ernsta Jüngera, że wycofał się w czas z tak krańcowej sytuacji, jeszcze w okresie władzy Hitlera. W późniejszych jego pismach, z których przypominam sobie ustęp „O cierpieniu”, powieść „Na złomach marmuru” i dziennik jego kampanii we Francji w drugiej wojnie światowej, potępienie przezeń nihilizmu staje się coraz wyraźniejsze i coraz bardziej po ludzku umotywowane.

Dzieje Alberta Camusa są odmienne, ale analogiczne. Odczytując jego książki każdy może z łatwością stwierdzić zdecydowany rozłam między „Le mythe de Sisyphe” a powieścią „L'Étranger” z jednej strony, z drugiej zaś między powieścią „La peste” a zbiorem szkiców „L'homme révolté”. Na początku „Le mythe de Sisyphe” Camus wysuwa koncepcję samobójstwa, ażeby w dalszym ciągu uzyskać odpowiedź na zagadnienie sensu życia. Powody trzymania się życia są tam wprost przedstawione jako niepoważne. „Wybrać śmierć dobrowolną” — pisze — „dowodzi że poznało się, chociażby instynktownie, śmieszność tego przyzwyczajenia, brak wszelkiej racji trwania przy życiu, szaleństwo tego codziennego miotania się i bezcelowość cierpienia”. Odebrać sobie życie, to znaczy „po prostu wyznać, że nie jest ono warte zachodu”, i potwierdza zbyteczność, niedorzeczność codziennego bytowania. Lekarstwo na to rozpaczliwe poczucie absurdu znajdzie Camus we współczuciu. „Świat w którym żyję napawa mnie odrazą — pisze później w „L'homme révolté” — ale poczuwam się do solidarności z ludźmi cierpiącymi”. Życie postaci jego następnej powieści, „La peste”, to już nie przedstawienie bezdusznego rozwoju faktów arbitralnych i pozbawionych sensu, ale pełne współczucia stykanie się istot cierpiących i walczących ze wspólnym wrogiem losem. Jeden z bohaterów powieści, doktor Rieux, spotyka w pewnej chwili drobnego urzędniczka magistrackiego, opuszczonego przez żonę, lecz opuszczonego bez urazy. „Patrzył z daleka jak Grand stał prawie przyklejony do szyby wystawowej,

za którą piętrzyły się drewniane, z gruba ciosane zabawki. Po twarzy starego urzędnika nieprzerwanie spływały łzy. Widok tych łez wzburzył doktora Rieux, bo rozumiał je i czuł w pustce własnej piersi. Przypomniiał sobie także zaręczyny nieszczęsnego, przed sklepem pełnym gwiazdkowych towarów, i jak wówczas Jeanne, nachylona ku niemu, mówiła że się cieszy. Świeży głos Jeanne wracał do Grand'a z ubiegłych lat, doktor był tego pewny. Rieux wiedział o czym w owej chwili myślał ten płaczący stary człowiek, i sam wraz z nim myślał, że świat bez miłości jest martwym światem i że zawsze nadchodzi godzina kiedy znużeni więzieniami, pracą i odwagą, domagamy się ludzkiej twarzy i serca przesyconego tkliwością... Podzielał to cierpienie, a w serce wgryzał mu się w tej chwili bezmierne gniew, taki, jaki odczuwa człowiek wobec bólu nawiedzającego wszystkich ludzi". Camus uczy nas, że nawet bunt zrodzony przez samą tylko litość może przywrócić sens życiu.

André Malraux przedstawia odrębny przykład, ponieważ ten francuski epigon Nietzschego przeszedł od komunizmu do gaullizmu, przy czym ma się wrażenie, że w głębi pozostał wierny Nietzschemu. Burzliwa linia jego losu wydaje się, w rzeczy samej, przygodą „nadczołowieka” w poszukiwaniu doświadczeń i sposobności bujnego wyżycia się; byłoby jednak niesprawiedliwością uważać to za czysto powierzchowne przejścia bohatera filmu. Od „Tentation de l'Occident” do „Psychologie de l'art” jesteśmy świadkami nie tylko zmian dekoracji na scenie. W r. 1926 Malraux zapowiedział historyczne bankructwo Europy, „tego cmentarza, na którym spoczywają już tylko umarli zdobywcy”. Bunt komunistyczny kolorowych ludów użyczył mu wówczas, zdawałoby się, właściwej perspektywy. Lecz jakże niestanowcze było jego przyłączenie się. Męskie przeświadczenie o nowopowstałym braterstwie przeplata się, na kartach „Condition humaine”, z upojeniem, jakie stwarza atmosfera oderwanego czynu. Pewniejszym głosem odwołuje się w „Temps du mépris” do braterstwa, jako do ostatecznego środka obrony przeciw rozpaczliwemu nihilizmowi. Chodzi o czynną solidarność, uświęconą ofiarą, która osiąga punkt szczytowy w uratowaniu, przez nieznanego towarzysza, przywódcy komunistycznego Kassnera od tortur narodowych socjalistów. Lecz czy ten szeregowy działał z własnej inicja-

tywy, czy z rozkazu aparatu partyjnego? I czy braterstwo może powstać na innym gruncie, niżeli wolność i odpowiedzialność osobista? „Niewola ekonomiczna jest ciężka — mówi stary Alvéar w „Espoir” — ale jeśli dla zniweczenia jej jesteśmy zmuszeni do wzmocnienia niewoli politycznej albo wojskowej, religijnej czy policyjnej, w takim razie nie dbam o nią”. Rewolucję poznaje się, jak drzewa, po owocach, a nie po wysiłku jakiego wymagają.

To są oderwane przykłady, wiem o tym, wiem też że jedna jaskółka wiosny nie czyni. Niemniej one wskazują skąd przyjdzie ratunek, wskazują drogę wyjścia z nihilizmu, poczynając się w głębi natury ludzkiej, gdzie trwają ukryte, niezmężone siły.

Teraz jednakże pośpieszam podjąć na nowo wątek najbardziej mnie interesujący, który na chwilę wymknął się z toku mego opowiadania. Szczególna postawa duchowa, o którą mi chodzi, jest w swej zasadzie zbliżona do stanów już omawianych, choć dochodzi się do niej innym szlakiem, i inną treść z niej wysnuwa.

Punktem wyjściowym na tym szlaku nie jest prawie nigdy rozmyślanie filozoficzne ani pewniki naukowe, najczęściej natomiast instynktowny bunt przeciw środowisku rodzinnemu i społecznemu. Tak więc pewnej niedzieli przestaliśmy chodzić do kościoła, nie z tego powodu, że nagle objawił nam się fałsz dogmatów, ale dlatego, że ci którzy chodzili na mszę nudzili nas, natomiast pociągało nas towarzystwo tych, którzy od niej stronili. Bunt młodych przeciw tradycji jest częstym objawem, rzadko kiedy miewa on jednak wyraźne oblicze. Zależnie od okoliczności, bunt taki może doprowadzić do Legii Cudzoziemskiej, do zwyczajnego przestępstwa, do występów filmowych, jak również do klasztoru albo do krańcowych ugrupowań politycznych. Nasz bunt był uwarunkowany wyborem towarzyszy. W naszej wsi tylko garść prostaków nie uczęszczała do kościoła. Nas interesowała nie ich psychologia, ale ich położenie społeczne. Jak uczy doświadczenie, z chwilą dokonania wyboru dalszy rozwój wydarzeń nie przedstawia cech oryginalnych. Bez sprzeciwu, a nawet z dobrze znaną gorliwością neofitów, przejmują się od nowych towarzyszy ich język, ich system przenośni, zasady organizacyjne, dyscyplinę, taktykę, program i doktrynę partyjną.

Nie ma w tym nic dziwnego, że pojęcia zaczerpnięte z katechizmu i z podręczników szkolnych nie stanowią, w większości wypadków, przeszkody w żarliwym przystąpieniu do nowej ortodoksji. Prawdę powiedziawszy nie powstaje nawet potrzeba zwalczania ich, ponieważ dogmaty katechizmowe i nauka szkolna należą do świata, któryśmy opuścili. Nie są więc ani prawdziwe ani fałszywe: są „burżuazyjne”, a więc odrzucone jak zwiędłe liście. Wybór jest alogiczny, emocyjny. Nie najmniejszą niekonsekwencją w postępowaniu nawróconego — na którą nadaremnie starałoby się zwrócić jego krytyczną uwagę — jest fakt, że ta globalnie przyjęta nowa ortodoksja domaga się przyznania jej cech naukowości i obiektywizmu. Taka jest reguła ogólna. Przeczytałem sporo biografii anarchistów, socjalistów, komunistów, faszystów, jestem zatem mniej więcej zorientowany co do okoliczności jakie doprowadziły wielu moich znajomych do aktywizmu politycznego. Jak dotąd, nie napotkałem ani jednego wyjątku od wspomnianej reguły. Jeśli jakie wyjątki istnieją, to chyba nieliczne. Innymi słowy, oświadczamy się za konserwatystami albo za wywrotowcami z wewnętrznego przeświadczenia, często bardzo niejasno ujętego. Zanim dokonaliśmy wyboru, zostaliśmy wybrani bez naszej wiedzy. Zazwyczaj zaznajamiamy się z nową ideologią później, w szkole partii, do której najpierw przystąpiliśmy pod impulsem wiary. Jest oczywiste, że zupełnie tak samo zresztą odbywa się proces odwrotny w razie ewentualnego odstępstwa. Ideologia podlega wówczas takiemu samemu bezceremonialnemu potraktowaniu, jak przedtem katechizm i dzieje ojczyste. Czyli, mówiąc stylem przestarzałym, opamiętanie się umysłu jest kierowane sercem, albo też, zależnie od stanu zdrowia osoby zainteresowanej, żołądkiem.

Nie możemy jednak odstąpić od zamiaru zdania sobie sprawy z sytuacji. Czym mogli się odznaczać proletariusze wiejscy w oczach młodego studenta, w okresie bezpośrednio poprzedzającym pierwszą wojnę światową? I to tak dalece, że się do nich przyłączył?

Nie mógł wtedy naprawdę myśleć o karierze politycznej. Skąd inąd, nie znał jeszcze dumnej przepowiedni Marksa, który pozdrawiał w proletariacie nowego dziedzica filozofii nowoczesnej. Nie wiedział również, że Carlo Cat-

taneo, po słynnych Pięciu Dniach mediolańskich, ogłosił powstanie nierozzerwalnego związku proletariatu z wolnością; te dwa pojęcia jak wierchowiec i jeździec, były przeznaczone do wspólnego klusowania po przestrzeniach nowych czasów. Nie miał też jeszcze wtedy pojęcia o teorii Róży Luxemburg, stwierdzającej że rewolucyjność jest naturalnym odruchem klasy robotniczej, ani też o teorii Lenina dotyczącej siły napędowej postępu w nowoczesnym społeczeństwie. Nic wreszcie nie wiedział o Sorelu ani innych prorokach nowego Mesjasza. Ale choć do tego zapadłego zakątka Włoch południowych nie dotarły jeszcze teorie rewolucyjne o misji dziejowej proletariatu, to właśnie w owych latach zaczęły powstawać, głównie pod wpływem robotników powracających z Ameryki, pierwsze związki oporu małych chłopów, wzniciając nieopisany lęk i niepokój. Nic więc dziwnego, że ów niezwykle rozruch wprowadził głębokie zmiany w umyśle chłopaka, już zniechęconego wewnątrz do miejscowego środowiska, wzbudzając w nim przeświadczenie, że w społeczeństwie starym, znużonym, znudzonym i wyczerpanym, ostatnim ratunkiem byli ludzie biedni, że oni stanowili oparcie o rzeczywistość życia i z nimi należało się łączyć.

Upływały wtedy ostatnie lata epoki, której liczne wydarzenia zdawały się potwierdzać słusność mitu o misji wolnościowej proletariatu. Urok tego mitu przekraczał o wiele ciasne ramy schematyczne polityki partyjnej. Ruch robotniczy jako całość przeciwstawiał się dekadencji nihilistycznej, przepowiedzianej przez Nietzschego, niby alternatywa jej, zakrojona na szeroką, ludową skalę. Była to obietnica nowej ziemi i nowego nieba. Życie duchowe, sztuka, świat myśli znalazły się pod jej bezpośrednim wpływem. Zdawało się, że wszelkie sprawozdania ze stanu rzeczy przyznawały dosłownie rację Róży Luxemburg. Ktokolwiek stwierdzał istnienie jakiegokolwiek organizacji robotniczej, w jakimkolwiek ustroju, klimacie i warunkach społecznych, która, bez względu na swe wady i pod jakimkolwiek kierownictwem, socjalistów, anarchistów, syndykalistów, dążyła z natury rzeczy ku wolności i odrodzeniu — nie narażał się w owych latach na zarzut niezgodności z prawdą. Wydarzył się nawet fakt, który powstał w dziejach ruchu robotniczego jako swego rodzaju klasyczny przykład, jak gdyby stworzony w celu dowiedzenia słusności teorii

naturalistycznej Róży Luxemburg o instynkcie wolnościowym klasy robotniczej. Około r. 1905 Ochrań, tajna policja carska w Moskwie, utworzyła syndykat robotniczy celem przywabienia i wyaresztowania tajnych agitatorów. Ci natychmiast wyczuli podstęp i nie dali się sprowokować, ale syndykat, w którego skład wchodził autentyczni proletariusze, stał się samorządnie — pomimo że był założony przez policję — organizacją rewolucyjną, tak iż wkrótce sama Ochrań była zmuszona do rozwiązania go.

Otóż wszyscy wiemy, że od tego czasu rozwinął się wraz z mitem o nieuchronności postępu, również i mit o instynkcie wolnościowym proletariatu. Świeże doświadczenia syndykatów, czy to w ustroju narodów narodowo-socjalistycznych, czy w takich jak Salazara i Perona, a w szerszym znaczeniu reformistycznych i korporacyjnych, przekonały o tym nawet tych, którzy wzdrażali się przed przyjęciem tego do wiadomości, dopóki opierali się jedynie na totalistycznej degeneracji komunizmu. Dzisiaj wszakże, powtarzam, przejście tego mitu do przeszłości stało się faktem dokonany, oczywistym dla każdego, kto zechce zadać sobie trud poinformowania się o warunkach społecznych na całym świecie, nie tylko w swoim bezpośrednim otoczeniu. Nie chodzi już tylko o ciekawą warstwę robotników uprzywilejowanych (tak zwana „arystokracja proletariatu” krajów imperialistycznych, umożliwiona przez wyzysk ludów kolonialnych), ani też niższych kategorii plebsu, nie włączonych jeszcze w proces wytwórczy (tzw. *Lumpenproletariat*), ale o normalne masy robotnicze. Doświadczenie tego rodzaju, jak to przeprowadzone w r. 1905 przez Ochrań, nie byłoby dziś z konieczności skazane na niepowodzenie. Dla marksistów znaczenie tego wydarzenia jest oczywiste: w organizacji robotniczej ten sam sposób życia nie oznacza identycznego lub nawet pokrewnego sposobu myślenia. Świadomość klasowa przestała być naturalnym wytworem klasy.

Odkąd powstała ta sytuacja, odkąd na zasadnicze problemy człowieka przestał oddziaływać, w skali światowej, skuteczny i zgodny nacisk świata robotniczego w kierunku wolności, powstał nowy niejako wymiar życia, nie tylko politycznego, ale i duchowego. Świat robotniczy uległ duchowemu rozbićiu. Dziś jest on wielowartościowy. Wierz-

chowiec, o którym mówił Carlo Cattaneo, zrzuciwszy jeźdźca z siodła, powrócił do pierwotnego stanu dzikości. Robotnik może się stać, jak widzieliśmy i wciąż widzimy, aktywistą w krańcowo przeciwnych obozach: może być faszystą albo partyzantem, katem albo ofiarą, lub też po prostu, w założeń i spokojnych krajach, zleniwiąłym filistrem bez ideałów, ubezpieczonym na wypadek bezrobocia, starości, choroby, a nawet na wypadek zbankrutowania towarzyszów ubezpieczeniowych. W krajach ubogich jak nasz, proletariatu bywa jednak przeważnie, z przyczyny swej względnej łatwowierności, wciągnięty w krańcowe przeciwległe prądy. Jeszcze może być Chrystusem, Chrystusem fraszobliwym, który bierze na siebie grzechy innych i poświęca się za nie; lecz może być także Barabaszem, niecnym totalistycznym Barabaszem, deptającym wszystko, co w człowieku jest najbardziej ludzkie. Jakkolwiek bądź, występuje na scenie jako protagonista. Jest *deus ex machina* polityki nowoczesnej. Łudzenie się, że można ten fakt zniweczyć, byłoby naiwnością. Wyobrażanie sobie, że demokracja może utrzymać się na dłuższą metę wbrew robotnikom, dzięki policji i sądom, jest wierutnym głupstwem. Orientacja przyjęta w każdym z krajów przez klasę robotniczą, stała się dziś decydującym czynnikiem w sytuacji politycznej danego kraju, z powodu stanowiska jakie robotnik zajmuje w produkcji, z powodu liczebności, zwartości i jednolitości tej klasy. Jest ona najpotężniejsza ze wszystkich; od niej zależy wolność ludzi i wszystko co decyduje o ich losie. Ale skoro nie rozstrzyga już klasa lecz sumienie, w takim razie wracamy do punktu wyjścia. Narzuca się dwojaki wybór: klasa, a w tej klasie proletariatu i wolność.

W jakim stanie znajdują się dziś sumienia? Nihilizm klas wyższych rozprzestrzenił się na całą powierzchnię społeczeństwa. Zaraza nie oszczędziła nawet ubogich dzielnic. Nihilistyczny kult siły i powodzenia stał się powszechny. Nihilizmem jest także ogólna skłonność identyfikowania historii ze zwycięzcami, upodlenie intelektualistów, którzy przyłączają się do komunistów albo do McCarthy'ego. Czyżby zmarli i słabi byli zawsze w błędzie? Czyżby mylił się zawsze Mazzini? Czy Trocki mylił się dlatego tylko, że został pokonany? Mylili się Gobetti, Matteotti, a Gramsci zaczął mieć rację dopiero od kwietnia 1945 r.? Przystanie ją mieć, jeżeli jego partia straci na sile? Czyż strach przed

bombą wodorową jest strachem wyższego rzędu, bardziej przekonywającym od innych?

Powszechnemu poczuciu niepewności, wynikającej w naszej epoce z kryzysu gospodarczego i z opanowania przez państwo i przez politykę wszystkich dziedzin działalności ludzkiej, odpowiada gorączkowe poszukiwanie przez jednostkę bezpieczeństwa i opieki ze strony któregoś z potężnych stronnictw, co nie wyłącza bynajmniej podwójnej gry w stosunku do przeciwnego stronnictwa, możliwego zwycięzcy w przyszłości. Jeśli krytyki ideologiczne i kampanie w imię zasad nie rozbijają zwartości stronnictw silnych liczebnie ani mącą obojętności większości ich członków przyczyna leży w tym właśnie, o czym była mowa wyżej: do wyjątków należą tacy, którzy wstępują do nich z głębokiego przekonania ideologicznego. Tej zaś oportunistycznej postawie poszczególnych członków, owładniętych troską o bezpieczeństwo własne i swojej rodziny, odpowiada skłonność do uzurpacji, jaką wykazują instytucje publiczne. Prawdę mówiąc, nie potrafiłbym wskazać zbiorowego organizmu, który by był dzisiaj wolny od nihilistycznego trądu. Zdawałoby się, że warunki klimatyczne wspólnego życia sprzyjają inkubacji jego zarazków. Monotonia głupoty ludzkiej jest bezgraniczna. Niezmienny też jest mechanizm uśmiercający, który sprawia, że każda grupa lub instytucja, poczęta w obronie ideału, z biegiem czasu najpierw utożsamia się z nim, a następnie staje na jego miejscu, umieszczając własny interes na szczycie wszelkich wartości. „Kto szkodzi partii, występuje przeciw historii”. Nie przeszkadza to członkom, z powodów parokrotnie tu wymienionych. Przeciwnie, to się im opłaca, a korzyści są nie do pogardzenia, zważywszy zupełne zrzeczenie się odpowiedzialności osobistej. Jeżeli, nieprawdopodobnym trafem, komuś zaświta jakaś wątpliwość, wystarczy by zwrócił się z zapytaniem do urzędu propagandy. (W drażliwych wypadkach odpowiedź będzie mu dostarczona do domu). Ilu jest takich, którzy zdają sobie sprawę, że przemoc środków nad celami jest wyrokiem śmierci na najszlachetniejsze cele? I że sprowadzenie człowieka do roli przyrządu i surowca zmienia w mistyfikację wszelkie usiłowania zapewnienia mu szczęścia?

Nie można sobie wyobrazić nic smutniejszego od eks-
prześladowanych, którzy z kolei stają się prześladowcami.
Nie wiem czy znacie straszny list, napisany przez Simone
Weil do Bernanosa na wiosnę 1938 r. z powodu wojny
domowej w Hiszpanii. Gwałtownemu wystąpieniu pisarza
monarchisty i katolika przeciw wybrykom w stosowaniu
represji do frankistów na Majorce, młoda intelektualistka,
rewolucjonistka i ochotniczka w szeregach republikanów
przeciwstawia przejęte smutkiem wyznania. List ten, nie-
dawno dopiero ogłoszony drukiem, wyraża zgrozę wrażli-
wej kobiety wobec niepotrzebnego okrucieństwa, jakie roz-
pętało się wśród republikanów. Lecz Simone Weil była
świadkiem czegoś, co pozostawiło jej wrażenie jeszcze bo-
leśniejsze od aktów brutalnego gwałtu. Trudno znaleźć
świadka bardziej bezinteresownego i o czystszych inten-
cjach, oraz przykład bardziej przekonujący.

„Nigdy nie spotkałam — pisze — ani wśród Hiszpa-
nów, ani wśród Francuzów przybyłych tu by wziąć udział
w walce lub jako turyści (ci zaś należeli przeważnie do
szarych, nieszkodliwych intelektualistów), nigdy nie spot-
kałam ani jednego, który by wyraził, chociażby w poufnej
rozmowie, odrazę, wstręt, lub przynajmniej naganę niepo-
trzebnego rozlewu krwi. Mówi Pan o strachu. Owszem,
był pewien udział strachu w zabijaniu; ale nigdzie tam,
gdzie byłam osobiście, ten udział nie odgrywał tak poważ-
nej roli jaką Pan mu przypisuje. Ludzie na pozór odważnie
opowiadali z pocziwym uśmiechem, przy koleżeńskim obie-
dzie, w jaki sposób zabijali księży i „faszystów” — a ten
termin ma bardzo szerokie zastosowanie. Miałam wrażenie,
że z chwilą gdy władze doczesne umieściły pewną kategorię
istot ludzkich poza obrębem tych, których życie ma pewną
cenę, nie ma nic bardziej naturalnego niż zabijanie ich.
Gdy się wie, że można zabijać bez narażania się na karę
ani naganę, zabija się. Albo co najmniej przesyła się zachę-
cające uśmieški tym, którzy zabijają. Kto początkowo od-
czuwa do tego odrazę, ukrywa ją i tłumi, ażeby nie okazać
się niemiłym. Jest w tym bodziec i jest upojenie, któremu
trudno się oprzeć bez wyjątkowej siły moralnej, a muszę
uważać ją za wyjątkową, skoro nie napotkałam jej u nikogo.
Spotkałam natomiast spokojnych Francuzów, dla których
przedtem nie żywiłam pogardy, którym nigdy nie przyszło-
by do głowy, by iść zabijać, a przecie nurzali się z widocz-

ną rozkoszą w tej atmosferze przesyconej krwią. Tego rodzaju atmosfera sprawia, że traci się z oczu nawet cel walki. Nie można bowiem określić jej celu bez odwołania się do dobra powszechnego, dobra ludzi, ludzie zaś stracili wartość”.

Zakończenie listu było następujące: „Wyrusza się jako ochotnicy, dla idei poświęcenia, aby polec w szeregach najemników w wojnie przeciążonej okrucieństwami”.

Nie zabraknie oczywiście durniów, którzy napiętnują list Simone Weil jako objaw defetyzmu. Ale ten defetyzm nie przepowiadał klęski: był nią poprzedzony, jak choroba wyprzedza diagnozę. Jakiej deski ratunku uchwycić się, by nie utonąć kiedy okręt idzie na dno? W rozmyślaniach tejże Simone Weil, zebranych pod tytułem „La pesanteur et la grâce”, znajdujemy pośrednią odpowiedź, której trafność wykracza znacznie poza granice polityki: trzeba „być zawsze gotowym do przejścia na przeciwną stronę, jak sprawiedliwość — zbieg z obozu zwycięzców”.

Zapewne, odeszliśmy daleko od nieskomplikowanej sytuacji, kiedy, zbuntowani przeciw własnemu środowisku, przeszliśmy na stronę proletariatu. Proletariusze tego świata nie są już zgodni między sobą; nie są już ucieleśnieniem mitu. Chcąc iść wszędzie ich tropem można zejść tam, gdzie się najmniej pragnęło. Oto dlaczego trzeba, jak już mówiłem, po wstępnym wyborze dokonać wyboru uzupełniającego.

Ażeby wyrobić sobie sąd o ludziach, nie wystarczy patrzeć, czy mają spracowane ręce. Trzeba patrzeć im w oczy. Zawsze się rozpozna wzrok Kaina. Czy jesteśmy po stronie skazanych na ciężkie roboty, czy po stronie ich dozorców? Nie podobna uchylić się od tego dylematu, ponieważ narzucają go nam sami oprawcy. „Czy jesteście z nami czy przeciw nam?” — brzmi ich wyzwanie. Nazwijmy rzeczy po imieniu. Nie jest na pewno naszym zamiarem poświęcenie ludzi biednych — wolności, ani też wolności ludziom biednym, lub ściślej: biurokratycznym uzurpatorom, którzy wspięli się na ich ramiona. Wierność tym, którzy są prześladowani z powodu umiłowania wolności, jest zobowiązaniem osobistego honoru. Ona sama stanowi definicję, lepszą od jakiejkolwiek abstrakcyjnej formułki pragmatycznej.

Zdaje mi się nawet, że w tych czasach jest ona prawdziwym kamieniem probierczym.

To co tu powiedziałem powinno by wystarczyć do wyjaśnienia, dlaczego tak mało dziś do nas przemawia humanizm o charakterze ogólnikowym, literacki lub filozoficzny. Może wróci przychylniejsza dlań epoka, dziś jednak nazbyt oddaliliśmy się od pogodnej harmonii, która jest jego dziedziną. Zdaje mi się że zadowolenie z siebie, będące jego podłożem, nie znajduje dzisiaj trwałego oparcia. W istocie dzisiejszy człowiek jest w dość marnym położeniu. Obraz człowieka współczesnego, na którym chcielibyśmy go przedstawić możliwie zbliżonym do oryginału, nie popadając w przesadę, musiałby być zdeformowany, ułamkowy, niejednolity, słowem — tragiczny.

To wyznanie pokory nie sprawia nam żadnego wysiłku, nie znamy bowiem odpowiedzi na najważniejsze pytania, dotyczące początków i przeznaczenia. Mówiąc prawdę, te tradycyjne pytania bynajmniej nas nie nękają. Zagadka pierwszeństwa istnienia jajka czy kury przestała nas zaniepokoić. Przyczyna tego jest, być może, jak najbardziej banalna; zagadnienie przekracza granice naszej odpowiedzialności, nie ponosimy więc winy za taki czy inny obrót wypadków. Jeśli zdarza się nam spędzać noce bezsenne, nie ono spędza nam sen z oczu. To charakteryzuje naszą postawę. Problemy pochłaniające naszą uwagę dotyczą samej treści egzystencji, a mianowicie odpowiedzialności człowieka współczesnego. Możliwość słusznego określenia ich przez nas zamyka się w tych granicach.

Chcemy przez to powiedzieć, że nie jesteśmy ani wierzącymi, ani ateistami, ani tym mniej sceptykami. Te etykiety o umówionym znaczeniu do nas się nie odnoszą. Przypisywanie nam ich powiększa tylko zamęt. Niewypowiedziany wstręt do pustosłowa i do szukania łatwej pociechy powstrzymuje nas od ogólniejszych oświadczeń. Święty respekt przed wartościami transcendentnymi zabrania nam daremnego powoływania się na nie i stosowania ich jak lekarstwo. I chociaż дума nie zdoła na nas wymóc przemilczania szarpiającej tęsknoty, jaką i my odczuwamy w chwilach samotności i niepokoju do domu rodzinnego, do jego pradawnego ładu, spokoju, bezpieczeństwa — czujemy się zmuszeni dodać, że miłość prawdy zawsze w końcu pokonywała w nas zamięłowanie do wygody.

W sytuacji, w której przesłanki metafizyczne, albo po prostu historyczne, wydają się niepewne i podlegające dyskusji, zmysł moralny nabiera z konieczności szerszego znaczenia, biorąc na siebie także i zadanie rzeczywistego przewodnika inteligencji. Prawda to niezbita, że w tych warunkach łatwo jest popaść w snucie teorii moralnych czysto abstrakcyjnych i uzależnionych od własnych zachcianek, lecz dzieje się to tylko wtedy, gdy poczucie moralne ma do rozporządzenia *tabula rasa*. W rzeczywistości, nawet poza obrębem jasnego uświadomienia sobie, pozostaje się zawsze człowiekiem z krwi i kości, człowiekiem pochodzącym z pewnych stron, przynależnym do pewnej klasy i pewnej epoki. Jeśli o nas chodzi, wartości życiowe ratujące nas przed dojściem do ostatniego punktu nihilizmu, są łatwe do ustalenia. Ładunek uczuciowy wniesiony przez nas w dokonanie zasadniczego wyboru nie został całkowicie wyczerpany na skutek rozczarowań. Nie jest to wypadek odosobniony. „My” w danym razie, nie jest przerostem formy „ja”. Nasze imię jest legion, którego liczba wciąż wzrasta: legion uchodźców z Międzynarodówki. Bardzo liczni w istocie są ci, którzy pozostając na zewnątrz wszelkich stronnictw i wyznań, są naznaczeni tymi tajemnymi palącymi stygmatami.

A zatem, pomimo wszystko, coś jeszcze pozostaje?

Tak. Istnieją pewniki nie do zniweczenia. to, w moim przekonaniu, pewniki chrześcijańskie. Wydają mi się tak wmurowane w rzeczywistość ludzką, że się z nią zjednoczyły. Przeczenie im równa się poddaniu człowieka rozkładowi.

Za mało tego do skonstruowania wyznania wiary, ale wystarczy jako wyraz zaufania. Zaufanie, oparte na czymś trwalszym i powszechniejszym niż proste współczucie ludzkie, o którym mówi Albert Camus. Opiera się ono w gruncie rzeczy na wewnętrznej pewności, że człowiek jest istotą wolną i odpowiedzialną; opiera się na pewności, że człowiekowi potrzebny jest niezbędnie wgląd w rzeczywistość innych ludzi; opiera się na pewności istnienia porozumienia duchowego. Czyż możliwość porozumienia duchowego nie jest dowodem braterstwa ludzi? Ta pewność zawiera w sobie kodeks życiowy. Rodzi się z niej miłość uciśnionych, jako naturalne następstwo, którego żadne rozczarowanie historyczne nie może podać w wątpliwość, ponieważ nie jest

to miłość interesowna. Jej istota nie jest zależna od powodzenia. Mając tyle pewników u podwalin egzystencji, czyż można ścierpieć, by możliwości ludzkie były zdeptane w istotach najlichszych i najniezwyklejszych? Jak wyobrazić sobie życie duchowe, głuche na wezwanie do tych zasadniczych zadań?

Nie należy jednak, rzecz oczywista, rozumieć tego w sensie politycznym, w odniesieniu do władzy i tyranii. Posługiwać się uciśnionymi jako szczeblem do władzy, aby ich następnie zdradzić, jest bez żadnej wątpliwości najnikczemniejszym świętokradztwem, bo są to przecie najbezbronijsi z ludzi. Musimy wyznać otwarcie, że nie posiadamy żadnego panaceum, bo nie istnieje panaceum na cierpienie społeczne. To że jest ufność, która pozwala nam iść dalej, to już bardzo wiele. Jesteśmy zmuszeni do posuwania się naprzód pod ciemnym niebem ideologicznym. Dawne, pogodne niebo śródziemnomorskie, błyszczące licznymi konstelacjami, zasnuły teraz chmury. Ale dzięki resztkom światła drżącym dokoła nas możemy, idąc przed siebie, widzieć jeszcze gdzie stawiać stopy.

Znaczyliby to, że postawa duchowa którą tu określiłem, nie wymaga apologii, ani też nie uzasadnia pychy. Mówiąc otwarcie, jest ona wybiegiem. Przypomina obóz uchodźców na ziemi niczyjej, obóz przygodny, rozłożony pod gołym niebem. Cóż mogą robić uchodźcy od rana do nocy? Zabijają czas opowiadaniem sobie wzajemnie swoich przygód. Przygody nie są zajmujące, ale oni opowiadają je głównie w celu zdania z nich sobie samych sprawy.

Otóż dopóki trwa uporczywa chęć zrozumienia i podzielenia się z innymi wiadomością o tym co się rozumiało, może nie wszystko jest jeszcze stracone.

SPIS TREŚCI

<i>Wywiad z Ignazio Silone</i>	7
<i>Droga do wolności</i>	17
<i>Wybór towarzyszy</i>	77

ACHÈVE D'IMPRIMER
LE 12 OCTOBRE 1964
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e)

Dépôt légal : 4^e trim. 1964



Instytut Literacki
Paryż 28 XII 64

« ARCHIWUM REWOLUCJI »

Ilu pokoleń historyków trzeba będzie w przyszłości dla uwolnienia obrazu życia rosyjskiego w ostatnich dziesięcioleciach od ciężkich fałszerstw propagandy i dla zrekonstruowania prawdziwego przebiegu wypadków? Będzie to z pewnością jedno z najtrudniejszych zadań, jakie kiedykolwiek stanęły przed ludzkością: w parze z ogromem materiału do zbadania idą otaczające go od dawna gęste ciemności.

Ale nawet gdy można będzie sięgnąć swobodnie do źródeł oficjalnych jaką ręką i jakimi prawdomównościami dadzą one badaczom w najważniejszych sprawach? Zapewne staną oni przed górami szpargałów zawierających ślady działalności organów wykonawczych wszystkich stopni; ale ileż z tego uda się wydobyć danych autentycznych o najdonioślejszych uchwałach organów kierowniczych? Chruszczow, na przykład, potwierdził oficjalnie prowokacyjny charakter zabójstwa Kirowa. Lecz w jakich okolicznościach i przy czym udziale postanowiono tę haniebną inscenizację? Przez kogo i jak, na podstawie jakich instrukcji, zostały sporządzone listy likwidacyjne kadr partyjnych w przewidywaniu tej zbrodni? Można bez końca mnożyć podobne pytania. Jakie realne motywy kryły się za likwidacją KPP, kto wysunął tę propozycję, kto ją zaaprobował? Odnajdzie się kiedyś świątek papieru z rozkazem wymordowania w Katyniu więźniów Starobielska i Ostaszkowa?

„Są to naiwne pytania — wyznał raz Togliatti swemu b. towarzyszowi — zważywszy że uchwały o pewnej wadze nie podlegają nigdy zaprotokółowaniu, a odnośnych rozkazów nie wydaje się nigdy na piśmie”. Jeśli to prawda, moglibyśmy ją uważać za dowód, że nawet w okresie bardziej na pozór trwałym swojej tyranii niedźwicy pretendujący do ucieleśniania sprawy Rewolucji mieli realistyczne poczucie własnej nikczemności i zdradzali uzasadniony niepokój o sąd historii. Ale kryminologia niechętnie uznaje zbrodnie doskonałe i, choć z opóźnieniem i z trudem, prawda wychodzi prawie zawsze na światło dzienne. Chodzi mi naturalnie o prawdę o szczegółach, gdyż prawda ogólna, prawda o ustroju, nie podlega więcej dyskusji dla nikogo kto myśli, pisze lub mówi w dobrej wierze.

Dziełu osadzenia jej na niewzruszonych podstawach poświęcili swe siły liczni świadkowie, którzy we własnym doświadczeniu poznali terror fizyczny i ideologiczny komunizmu i postawili go w końcu przed sąd i pod pręgierz opinii międzynarodowej. Ich książki ukazały się w krajach, gdzie wolność słowa dawała agentom dyktatury możliwość zaprzeczenia. Ale nie usłyszeliśmy tych zaprzeczeń, usłyszeliśmy tylko że książki ujawniające rzeczywistość komunizmu są dziełem zdrajców, renegatów, sługusów imperializmu. Nie ma ani powodu ani potrzeby ukrywać faktu, że nawet w krajach demokratycznych nie trywialne oszczerstwa osiągały dość często efekt zastraszenia. Niektórych samozwańczych intelektualistów „postępowych”, nie mówiąc już o atakach wściekłości ze strony dawnych towarzyszy partyjnych. I byłoby rzeczą łatwą udawać obojętność wobec tego rodzaju napaści i wobec nieodłącznych od nich aktów ekskomuniki; byłoby rzeczą łatwą, gdyby nie pozostawiały one bolesnych ran w sercu każdego kto pozostał mimo wszystko wierny sprawie socjalizmu.

Czytelnicy książek, które *Kultura* włączyła do serii nazwanej *Archiwum Rewolucji*, powinni o tym pamiętać: są to świadectwa prawdy, które wymagały odwagi.

Ignazio SILONE

Cena 7,50 F. (11/6; dol. 1,75)

